



№ 36.

Prenumerata w Warszawie:
rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 5 września 1868 r.

Prenumerata na prowincyi i w ce-
sarstwie w osobnych kopertach:
kwartalnie rs. 3 1/2.

TOM II.



DOLINA BOCHOTNICKA, z ruiną pałacu Esterki, na drodze do Kazimierza. (Zob. art. na str. 112).

Treść numeru. Od redakcyi. — Kronika tygodniowa. — Przegląd teatralny. — Przegląd polityki zagranicznej. — O niektórych położeniach nadbrzeżnych Wisły (dokoń., z trzema drzeworytami). — Wiadomości bibliograficzne. — Wycieczka na Łomnicę tatrzańską 26 lipca 1865 r. (dokoń.). — Listy Teofila Lenartowicza o literaturze i sztuce włoskiej. — Korespondencya od redakcyi. — Aleksandra Rakiewiczowa (z dzeworytem). — Szachy. — Rebus. — Korespondencya Tygodnika Ilustrowanego z Paryża (dokoń.). — Silni i słabi, powieść (dalszy ciąg). — Słów kilka o repertoarze (dokończenie).

Od redakcyi.

Tygodnik Ilustrowany wychodzić będzie i nadal, w tym samym jak dotąd zakresie i kierunku.

W przyszłym numerze naszego pisma rozpoczniemy w dodatkach nadzwyczajnych druk powieści Bulwera (syna) p. t. *Pierścień Amazyza*.

Niezależnie od tego, rozpoczniemy w kwartale następnym nową w dwóch częściach powieść Jana Zacharyasiewicza, p. t. *Mąż upatrzony*, z ilustracyami Antoniego Zaleskiego.

Cena Tygodnika wynosi:

W Warszawie:

rocznie	rs. 8 kop. —
półrocznie	" 4 " —
kwartalnie	" 2 " —
miesięcznie	" — " 67 1/2

Na prowincyi i w cesarstwie, w osobnych kopertach opieczętowanych:

rocznie	rs. 14 kop. —
półrocznie	" 7 " —
kwartalnie	" 3 " 50

Prenumerować można na wszystkich stacyach pocztowych, oraz wprost pod adresem wydawcy, Józefa Ungra w Warszawie.

Za granicą prenumeratę na Tygodnik Ilustrowany i Wędrowca przyjmują:

Zupański w Poznaniu i prowincyi.
Kamiński w Poznaniu.
Leitgeber w Poznaniu.
D. E. Friedlein w Krakowie i na Galicyi.
Jaworski w Krakowie.
K. Wild we Lwowie.
F. H. Richter we Lwowie.

Kronika tygodniowa.

Miesiąc obecny można nazwać porą kufrow i pakunków.

Rzeczywiście, szacowne te sprzęty bardzo ważną odgrywają w chwili bieżącej rolę. Mnóstwo ich z różnych stron przybywa do Warszawy, a noszą na sobie różne firmy, znaki i adresy.

Naturalnie że przy kufkach jeżdżą także i ludzie. Ale kufry ważniejszymi są, najprzód że o nich większe jest staranie, powtóre że znaczna ich część po pierwszy raz dopiero Warszawę odwiedza. Zrodziły się one gdzieś nad brzegami Dunaju, Renu, lub nawet Sekwany, twarda zaś konieczność zagnęła terazniejszych ich właścicieli do udania się o pomoc do nich.

Dopieroż zaczną się rozprowadzania o tanioci sprawkunków zagranicznych.

— W tym wielkim magazynie w Paryżu, wiesz przecie, przy zbiegu dwóch ulic, co to za tanioci! Tam dopiero warto życie przepędzać. Materyalną suknię kupisz za kilkanaście rubli i to bez targu nawet. A płótna, a szale, a koronki! Doprawdy, żalować przychodzi że tak mało wzięłam pieniędzy ze sobą, bo na samém kupnie można było wyborny zrobić interes.

Tak, tanio to wszystko, nie przeczymy. W Wrocławiu krawcy robią nawpół darmo (zwłaszcza w porównaniu do naszych, którzy już dziś za letni palto-cik jedwabiem podszyty nie wahają się *czterdziestu pięciu* lub *pięćdziesięciu* rubli srebrem żądać), w Wiedniu to samo. A jednakże to tanioci ruinująca.

Któs powiedział, że niema nic tak drogiego, jak tanioci, i miał wielką słusznosci.

Bo tanioci skłania nas do kupowania mnóstwa przedmiotów zupełnie nam nawet nieuzytecznych; jest ona wabikiem do wyciągnięcia pieniędzy z kieszeni.

Bez wielu rzeczy obejśćbyśmy się mogli, ale tak tanio nam je ofiarują! Jak tu się oprzeć pokusie? Druga taka sposobnosc już się nie nadarzy może.

A rzeczywiście z tej tanioci mogą tylko korzystać ludzie majetni, tacy przynajmniej, którym przypadkowy i niespodziany wydatek żadnej szczyrby w dochodach nie wyrządza. Innym niewolno wdawać się w tę spekulacya, bo mniej potrzebny przedmiot, chociażby wpół darmo kupiony, spowodować może brak funduszu ściśle na zaspokojenie potrzeb życia wyrachowanego.

Trzeba się więc udawać do pożyczki i... skutek wiadomy.

A porachowawszy procenta jakie opłacać przyjdzie, pokazuje się z czasem, że tani ów nabytek bardzo drogo wynosi.

Sens moralny z tego, iż powinniśmy być zadowoleni że w Warszawie taka drożyzna, bo tym sposobem ludzie wstrzymują się od kupowania i nie dają folgi pokusie.

Rolnicy robią nam nadzieje, że chleb w bieżącym roku będzie tańszy. Zdość sprzecznych doniesień o zbiorach wypływa jednak to przekonanie, że zboże w bieżącym roku nieźle podsypuje i dobrze waży, a waga obecnie dużo znaczy. Dawniej nie troszczono się o nią, wszystko bowiem kupowano na miarę; dzisiaj coraz bardziej zaczyna ona stanowić stałą normę szacunku.

Wprawdzie panowie handlujący tę wygodę sobie czynią, że stosownie do tego jak w którym roku zboże więcej lub mniej waży, oznaczają sprzedaż na wagę lub miarę.

Dzisiaj naprzykład, kiedy ogólnie, zboże więcej waży, każdy z tych panów pragnąłby na miarę kupować, i bardzo żywe nawet o to toczą się sprzeczki.

Wartoby więc żeby choć raz urządzono stałą pod tym względem zasadę, a zdaje się że waga zboża jest najwłaściwszą wskazówką jego wartości. Tak przynajmniej dzieje się za granicą, a co dobre i użyteczne, to powinniśmy naśladować.

Podobno Adelina Patti (margrabina de Caux) przyjeżdża do Warszawy. W przeszłym już roku krążyła ta sama wiadomosc, chociaż okazała się mylną; obecnie jednak, jak się zdaje, przyjazd ten ziści się rzeczywiście.

Pani de Caux ma tutaj dać dwa przedstawienia, i zaraz potem udaje się w dalszą podróż; zamierzając bowiem po kilku latach zaniechać zupełnie występów publicznych, pragnie ona dać się poznać wszędzie i zjednać sobie jaknajwięcej wielbicieli swojego rzeczywiście wyjątkowego talentu, a przytém nagromadzić i spory zapas brzęczących dowodów tego uwielbienia.

Słynna śpiewaczka posiada już milionowy majątek, zebrany przez kilka lat ostatnich. Paryżanie szaleli za nią. Portrety jej były rozchwytywane; ale podług wyznania jej samiej, największym podobieństwem odznacza się portret który zdejmował z niej Tytus Maleszewski. Wykonanie tego portretu zjednało mu w Paryżu wziętość niemałą, bo łatwo się domyslić, że do odwzorowania rysów zachwycającej artystki niemało stanęło konkurentów, była to bowiem jedna z rzadkich sposobności zyskania odrazu rozgłosu.

Pani de Caux za każde swoje wystąpienie suto sobie płacić każe, dobrze więc że jej pobyt w Warszawie długo się nie przeciągnie, możnosc bowiem nasza nie odpowiadałaby ochocie usłyszenia śpiewu pięknej czarodziejki. A przyjeżdża ona do nas w całej pełni talentu i sławy, nie tak jak wiele innych (Pasta, Viardot Garcia etc.), które kazały nam podziwiać szczątki przebrzmiałej już dawno przeszłości. Pamiętamy że pani Viardot Garcia, wychodząc ze sceny po wystąpieniu, w którym przyjęcie, aczkolwiek gorące, nie odpowiadało nadziejom jakie sobie roiła, rzekła z westchnieniem:

— Hélas, tout passe, tout casse, tout lasse.

(— Niestety! wszystko z czasem przechodzi, niszczy i nuży).

Może i miała słusznosci; ale dlaczegóż czekała tak długo, aż jej to dadzą uczuć? Największa może zasługa tych którzy są na świeczniku, jest umieć się cofnąć w porę do cienia.

Teatra zaczynają już powoli powracać do dawnych swoich przywilejów. Dłuższe wieczory zwabiają chętniejszych widzów. Teatr Rozmaitosci po kilka razy już był tak pełny, że biletów do krzeseł dostać nie można było.

Reżyserya jednak nie myśli zasypiać w dawnym optymizmie, który już tyle szkody scenie naszej zrządził. Prawie co tydzień afisze donoszą nam o jakiejś nowosci. W zeszłym tygodniu mieliśmy „Lekcyę śpiewu,” w bieżącym „Pocłunek bezimienny;” na przyszły zapowiadają nam „Piękność uderzającą.” Przygotowuje się także kilka sztuk większych rozmiarów, a niektóre wznawiają się, jak „Adryana Lecouvreur.” Na przyjazd znów pani Modrzejewskiej dramat musi wystąpić w całym świetnym przyborze swoim. Praca to niemała, ale przy dobrej woli pójdzie to jakoś.

Królikowski, po odegraniu przedstawienia benefisowego, zamierza podobno odbyć wycieczkę artystyczną. Pani Bakałowiczowa także wyjeżdża na urlop do Krakowa i Lwowa. Mówią że i Rychter udaje się również w tamte strony. Artyści więc pozostali będą musieli podwoić trudu i starań, żeby publiczności, która przesycona rozrywkami letniami, żadna jest przedstawień teatralnych, nie dać uczuć braku.

To pewna, że przez parę miesięcy letnich starano się zaopatrzyć w dość obfity repertoar sztuk nowych, a owoce tych starań dadzą się widzieć teraz dopiero. Niektóre z tych sztuk, jak np. „Pojęcia pani Aubray” zaledwie parę razy powtórzone w porze upałów, starczą za zupełną nowosc i liczną zwabią publiczność.

Straszną, przerażającą nowinę wam powiem, Warszawianie. Nie wiem nawet jak znieść potraficie ten cios okrutny, a tém mniej jakim sposobem was przygotować do tego.

Najlepiej jednak, jak utrzymują niektórzy, powiedziec rzecz od razu, bez wszelkich przygotowań. Co ma się zrobić, to się robi.

Oto wieǳcie.... że zapasy piwa bawarskiego już są prawie na schyłku.

Tak jest, gorąca dokuczały nam tak silnie, a przytém Warszawa tak się rozogrodkowała w roku bieżącym, że wszelkie wyrachowania panów majstrów piwowarskich okazały się zawodnemi.

Z wielu miejsc donoszą w tajemnicy, że już ostatkami gonią, że nawet piwo które pijamy obecnie, o zgrozo! nie jest już tym czystym nektarem ozywczym, który na uszczęśliwienie świata z Bawaryi rozlał się po całej Europie. Straszono nawet jakimś podróbkami sfabrykowanymi naprędcie, chociaż szczerze mówiąc, uważam to za czarną obmowę.

Nie będzie jednak od rzeczy jeszcze raz tu przypomnieć, że w czasach arkadyjskiej niewinności naszej piwo marcowe zadowalało wszelkie żądania i że to piwo wyrabiało się jaknajlepiej w każdej porze roku, podczas kiedy zapas piwa bawarskiego w zimie tylko z rzeczywiście powodzeniem przygotowywać można.

Nie jest to rzecz tak drobna, jakby się zdawało z pozorów; piwo bowiem dla części ludności naszej stało się rzeczywistą potrzebą. A ponieważ do pewnego stopnia zastępuje ono napój daleko szkodliwszy i zgubniejszy w skutkach, — wódkę, nie należałoby stawiac opozycyi przeciwko jego rozpowszechnianiu.

Ściśle jednak biorąc, piwo bawarskie jest napojem zbyt kownym. W obecnym czasie pięć kopiejek, które trzeba za kufelek tego piwa zapłacić, ma już pewne znaczenie, a kto w tych kufelkach zagustuje, trudno żeby na jednym poprzestał.

A przytém są tacy, którzy utrzymują że piwo bawarskie u nas fabrykowane, zwłaszcza przy częstszym i obfitszym używaniu, niekoniecznie zbawiennie na stan zdrowia wpływa; pesymiści nawet zdanie to swoje licznymi popierają przykładami.

Przeciwnie zaś piwo marcowe, tak w lecie jak i w zimie, stanowiło zdrowy i pożywny napój. Nawet nadużycie go niewiele szkodziło zdrowiu, tylko szło w korzyść tuszy, kosztowało zaś o połowę mniej i dziś jeszcze taniej od bawarskiego może być wyrabiane, oszczędzając także w znacznej części nakładów pierwotnych.

Starzy ludzie pamiętają jak wybory, pożywnym i rozgrzewającym przysmakiem było piwo grzane. Grzać bawarskiego piwa niepodobna, utracą ono bowiem przez to cały swój smak pierwotny, podczas kiedy marcowe zyskuje jeszcze na tym zbliżeniu do ognia.

U ojców naszych grzane piwo zastępowało kawę i herbatę; pijano je na śniadanie i przed położeniem się do łóżka; było ono lekarstwem i prezerwatywą i należało do najbardziej pożądanych kordyałów domowych.

I nie było obawy o to, żeby zabrakło kiedy tego napoju, bo, jak już powiedzieliśmy, wyrabiano go w każdym czasie, więc wyczerpane zapasy ciągle się odnawiały.

Powiadano nam że z powodu zmiany suszarni i sposobu przyrządzania siodu, piwa marcowego wyrabiać już niepodobna. Nam się jednak zdaje że co można było zrobić, to i odrobićby się dało. Jeżeli dawny systemat wyrobu piwa był dobry, możnaby do niego powrócić, a rzeczy łatwo dałyby się zagościć. Utraciłyby na tym może ogródki różnego rodzaju, ale życie domowe zyskałoby niezawodnie.

Knajpowanie dawniej mało było znane u nas, dopiero z wprowadzeniem piwa bawarskiego rozpoczęło się ono na dobre. Bo wymysł ten, wymagając przyjacielskiego stuknięcia w kufelki, ludzi po za dom wyciąga, narzucając im różne przyzwyczajenia, bez których łatwo by się obejść mogli.

Mało kto uwierzy jak wielki wpływ wywiera na obyczaje *piwomania*, wraz ze wszystkimi dodatkami jakie wymyśliła sobie.

No, a teraz, po przeczytaniu tego artykułu, każdy sobie przynieść kufelka piwa bawarskiego.

Przegląd teatralny.

Teatr Rozmaitości: „Lekcja śpiewu,” fraszka sceniczna, przez Feliksa Szobera.

Pan Szober pod dobrą gwiazdą zaczyna. Ma szczęście widocznie, a to już wiele; bo zdolności człowieka kształci i rozwija, zasługę przy usilnym trudzie osiągnąć można; ale szczęście to rzecze trudna, niepodobna nawet do pozyskania, trzeba je mieć, a rzadko komu świeci ono naprawdę.

Drugą już sztukę pana Szobera, i to w krótkim przeciągu czasu, przedstawia teatr Rozmaitości, a oba wystąpienia uwieńczone zostały powodzeniem.

Publiczność zgromadziła się licznie i bawiła się dobrze, brawa nie ustawały, autora przywołano. Czegoż więcej żądać?

Po prawdzie jest czego.

Przedewszystkiem żądać należy pracy sumiennej, bezwzględnej, niezależnej od tego co powodzenie daje, nieubezpieczającej się na niemi, a głównie nie czerpiącej w niemi normy do dalszego kierunku.

Bo powodzenie, to rzecz względna, choćby tylko z warszawskiego punktu widzenia. Tyle rzeczy ma u nas powodzenie, że prawdziwa zasługa musi się podwójnie opatrzyć, gdy jej przyjdzie rachować się ze względami publiczności.

I mówiąc to, nie myślimy wcale zakłócać panu Szoberowi zadowolenia z otrzymanych słusznie tym razem okłasków. Młody autor poczciwie bierze się do dzieła, a oprócz niezaprzeczonych zdolności, czuć w nim skromność nieudaną i szczerą chęć do pracy; z temi zaś przymiotami daleko zajść można, bo człowiek rachuje się z drogą którą przebył i z tą którą mu pozostaje jeszcze do przebycia.

Lekcja śpiewu, to wodwil francúzki, na naszą scenę wprowadzony. Próbowano już tego rodzaju u nas i na różne sposoby. Kamiński w Młynarzu i kominiarzu, Ładnowski, Anczyc nawet, najhojniej z nich wszystkich obdarzony talentem, to wodwiliści oryginalnego, naszego pokroju, przenoszący na grunt tutejszy wesołość, śpiewki i dowcipy.

Przytaczamy z umysłu te trzy nazwiska, bo wszyst-

kie one wypłynęły z powodzeniem, a Anczyc głównie, gdyby chciał cały swój czas dla sceny poświęcić, gdyby mógł w tej pracy znaleźć punkt oparcia i jakiegobądź zapewnienie bytu, stałby się niewątpliwie główną u nas podporą sztuk dramatycznych lżejszego pokroju i stanąłby zwyczajem do walki z tłumem przekładów, które niezawsze nam trafiają w myśl i pojęcie.

Pan Szober postanowił poprobać także sił na tej drodze, tylko zmienił środek działania. Tamte wodwile krążyły w scenach wiejskich i małomiasteczkowych; on odważnie w życie miejskie się zapuścił. Cały wprawdzie pokrój pozostał francúzki, czuć tam naśladowictwo, trzymające się ogólnie u tamtych przyjętej normy, ale widać że i z naszego coś zaczerpnięto w szczegółach, a te szczegóły dowodzą, że pan Szober zaczyna już patrzeć na życie i zbierać z niego.

Czy autor dobrze zrobił, obierając sobie ten kierunek, przesądzać nie możemy. Wszelkie przepisy i rady z góry udzielane na nic się tu nie przydadzą, zdolność bowiem nagina się zawsze w stronę, jaka jej się dogodniejszą wydaje. Czasem usposobienie to chwilowe, czasem przetrwa ono nadługo, nawsze nawet; zależy to od różnych wpływów czasu i okoliczności. A w każdym rodzaju można być dobrym, byle tylko nie nudzić, jak powiada jeden ze znakomitych krytyków, fraszka zaś pana Szobera nie jest nudną.

Trzy osoby składają się na rzecz całą.

Jest tam więc Jacenty Minor (p. Damse) nauczyciel śpiewu, odszukiwacz i twórca nawet w potrzebie głosów tenorowych, oryginał, co zamiast brać pieniądze za lekcje które chce udzielać, sam ofiaruje się płacić za nie; jest siostrzenica jego i uczennica zarazem (panna Oswaldówna); jest nareszcie Narcyz Hyperbola (pan Szymanowski), który przybywszy w zamiarze brania tak korzystnych lekcji, znajduje korzystniejszym jeszcze ożenić się z panną, przynoszącą mu 100,000 zł. posagu.

Rzecz się rozstrzyga między panną a kawalerem, prozą i wierszem, w mowie potocznej i śpiewkach, podczas chwilowej nieobecności pana Jacentego, zajętego ważnym procesem.

To już i wszystko, bo całą zaletę tej fraszki stanowi zręczne obrobienie i uscenowanie, dowcip często udatny i wreszcie umiejętne korzystanie z efektów scenicznych, nastęrczających artystom, a szczególnie panu Damsemu, sposobne pole do rozweselania publiczności.

Radziłyśmy wprawdzie widzieć te dowcipy i efekta mniej jednostajnie na jeden nastrojony temat. Dużo już tego słyszeliśmy, niejedno dawno już nas rozśmiesza; ale cała tu sztuka w zręcznym użyciu, a pan Szober umie użyć, artyści zaś dobrze mu w tym pomagają.

Należy tu wspomnieć o pannie Oswaldównie, która po pierwszy raz występowała w „Lekcji śpiewu,” zmieniwszy dotychczasowy kierunek (brała dotąd udział w pomniejszych operetkach, jako uczennica śpiewu).

Młoda debiutantka posiada miłą powierzchowność i głos przyjemny. Odwagi jej nie brak, może dlatego, że już oswojona trochę z deskami scenicznymi. Zachowała wprawdzie nawyknięcia operowe, zależące na większej wyrazistości gestów i całego układu osoby, ale zniknęło to i zrówna się, przy dobrych radach takiego jak dzisiejszy reżyser przewodnika, przy doświadczeniu wreszcie scenicznem, jakiego artystka nabierze, jeżeli pozostanie nadal w składzie komedii tutejszej. Ważna rzecz że ma głos i umie śpiewać, bo do sztuk ze śpiewkami, które u nas dotąd stanowią znaczną część repertoaru, takich właśnie artystek potrzeba.

Wacław Szymanowski.

Przegląd polityki zagranicznej.

4 września.

Nigdy jeszcze prasa francúzka nie przedstawiała takiego chaosu zdań, tak rażącego prądu sprzecznych opinii, jak obecnie. Wprawdzie dziennikarstwo przywykło już do ustawicznych rozpraw za lub przeciw wojnie, lecz przynajmniej dotąd, obok żarliwych wybrków takiej Liberté lub Opinion, praca pół-

rzędowa starała się miarkować ich wojowniczy zapał. Dziś i urzędowa prasa rozpadła się na dwa obozy, i podczas kiedy Constitutionnel głosi hymny pokoju, Pays, również urzędowy, dmie w trąbę wojenną. Dziennik ten otwarcie powiada, że nie wierzy aby zjednoczenie militarne Niemiec pod przewodnictwem Prus spełnić się mogło bez opozycji ze strony Francji. Niedosyć na tém, wykazując skutki tego zjednoczenia, Pays dochodzi do wniosku, że Francya musi odzyskać naturalne swe granice, gdyż cesarstwo Napoleonidów może mieć spótzawodników, lecz nie ścierpi żadnej wyższości. Dla całości obrazu dodać jeszcze należy system wieści, to jest plotek politycznych, potężnie oddziaływających na opinię publiczną we Francji. Wiadomości o uzbrajaniu fortec, rozdaniu kartaczowników nowego pomysłu, o zakazie dopuszczania kogokolwiekobądź bez biletu do biur ministerium wojny, o badaniach portów holenderskich dokonywanych przez inżynierów morskich i tyśiące innych pogłosek tego rodzaju, — wszystko to znajduje i wierzących i przeczących, ostatecznie zaś doprowadza do wniosku, iż rząd francúzki nie jest tak przeciwnym wojnie, jak tego pozornie dowieść pragnie. W obec tego usposobienia opinii publicznej dzienniki zajmować się zaczynają rozbiorem powodów i przyczyn, wiodących do przymierza Francji z tém lub owém mocarstwem. — Cesarz Napoleon wyjechał do obozu w Chálons.

W obec wojennego usposobienia dzienników francúzkich, pruska prasa troskliwie czuwa i bada te objawy, jako strona najbliżej interesowana we wszystkich kwestjach dotyczących Niemiec. Wyznać należy iż dzienniki pruskie w trudniejszym są położeniu od francúzkich. Że gabinet berliński dąży do zjednoczenia Niemiec, to nie ulega wątpliwości; tymczasem traktat pragski stanowi dwa Związki, a Francya, szczerze czy pozornie, obstaje przy warunkach tego traktatu i każdy krok Prus śledzi podejrzliwymi oczami. Gabinet więc berliński przy takim usposobieniu Francji musi się mieć na baczności. Pomimo to jednak, rząd pruski zdaje się wchodzić na drogę ustępstw, gdyż urzędowa Nord. All. Ztg. z d. 2 września oświadcza, iż wstrzymano powołanie rekrutów, wkrótce zaś nastąpi rozpuszczenie rezerwy. Byłby to pierwszy krok do rozbrojenia. Pytanie wszakże zachodzi, czy Francya zgodzi się na rozbrojenie, zwłaszcza gdy i sam cesarz Napoleon i wszyscy ministrowie bezustannie powtarzają, że pokój dlatego tylko się utrzymuje, iż Francya jest silnie uzbrojoną i gotową do walki. Jako wieść zaznaczyć należy, że Bank i Hand. Ztg. utrzymuje, jakoby rząd pruski wznowił miał ideę kongresu i powszechnego rozbrojenia. W Austrii umysł są zajęte obradami sejmów koronnych, z których pragski, jak o tém już wspominaliśmy, największych kłopotów jest powodem. Utrzymują że gabinet wiedeński postanowił jeszcze raz zawezwać członków stronnictwa narodowego do stawienia się na sejm, w razie zaś odmowy, nowe rozpisze wybory. Pogłoski o przymierzu z Prusami nie ustają, dotąd wszakże nie zasługują na wiarę.

Ze Wschodu wiadomości skąpe i niejasne. Telegram donosi, że Bułgarowie wysłali adres do zagranicznych mocarstw, lecz nie przytacza treści tej odezwy, tak że nie można wiedzieć czy to adres dowódców band zbrojnych, czy też spokojnej części ludności. W Konstantynopolu odbyło się posiedzenie rady stanu, na którym wniesiono podobno projekt reform dla Bułgarii. Główne ustępstwo zasadzać się ma na utworzeniu odrębnego kościoła bułgarskiego, z osobnym patriarchą na czele.

Ostatnie depesze. Paryż, 2 września. Epoque utrzymuje, że spóźnienie rekrutowania i rozpuszczenie części rezerwy w Prusach, nie może być uważanem za początek rozbrojenia.

Paryż, 1 września. Minister skarbu Magne miał mowę pokojową na ucztach w Perigueux. Wniósłszy toast za utrzymanie pokoju, minister powiedział, że wszyscy chcą pokoju, że cesarz Francuzów życzy go sobie, a nikt nie może tego uważać za słabość, gdyż Francya jest silna w ludzi, broń, pieniądze i patriotyzm.

Ateny, 1 września. Byłego prezesa ministrów Kumunduros i cztery inne osoby, aresztowano z powodu intryg przy wyborach. (W. T. B. Ind. Bel. Schl. Ztg. Jour. des Deb. France.)

O NIEKOTORYCH POŁOŻENIACH NADBRZEŻNYCH WISŁY.

(Z rysunkami i tekstem Ludwika hr. Grabowskiego).

(Dokończenie)

Miejscowość Kazimierz wielokrotnie już opisywaną bywała, nie będę się więc nad nim rozwodził, a wspomnę tylko, że widok z pod wieży jest prześliczny. W stronie południowej napatrzeć się nie można malowniczymu efektowi, jaki sprawia w kotlinie umieszczone starożytne miasto, dwa kościoły i nieporównanej wartości artystycznej ruiny śpichrzy, daleko ciągnące się aż ku Mięćmierzowi, wyniosłej dość górze, a na drugiej stronie Wisły zamek janowiecki, z tulącą się u stóp jego wieś; w przeciwną zaś zachodnio-północną stronę piękne wzgórze Parcha-

Wzgórze przyległe obrosłe są różnorodnymi krzewami, w innych okolicach mało widzianymi, jak kalina, jarzębina, spirea a nawet kaprifolium, które nadają tej dolinie, mianowicie w jesieni, barwy najświetniejsze, bo łączą się z klonami, z brzeziną, z leszczyną, świerkiem, osiczną, grabem i sośniną, co czyni że od końca sierpnia aż do opadnięcia zupełnego liści, zieloność przybiera wszystkie barwy palety i nieoszacowanym jest studium dla artystów co do urozmaicenia kolorytu.

W tej dolinie rozsiana jest wieś Bochotnica, i tam miał istnieć pałacyk Esterki. Istotnie na jednym ze wzgórz doliny bochotnickiej spostrzegamy szczątki jakiejś nieobszerniej budowli, którą pałacem Esterki zowią.

Chociaż historycznych dowodów do uzasadnienia

sca, gdzie bezpiecznie od zalewów Wisły most rzucić można było.

Zakręt ten przysparza drogi, lecz mało kto tego żałuje, skoro nań wkroczy; droga bowiem wije się tu wciąż u podnóża gór skalistych, tuż ponad strumieniem wznoszących się i za każdym krokiem prawie coraz nowe przedstawiają nam się widoki i studia, to ruin śpichrzy, to dawnych domów starożytnymi rzeźbami zdobnych, to na zajęcia nadbrzeżne i ruch handlowy statków ładujących na Wiśle, to na bezładnie rozrzucone gaje najwytworniejszych slipek. Tą malowniczą drogą przejeżdżając u podnóża ruin zamku i obok kościoła farnego, spuszcza się nader spadzistą drogą w sam rynek starego Kazimierza.

Naprzeciw prawie Kazimierza, lecz więcej ku po-



WIEŻA W BRONOWICACH, zwana Firlej, obecnie przez nabywcę majątku tego rozwalona.

tki, a w mgle oddalenia Nowa Aleksandrya i Góra puławska. Widok ten przecięty jest doliną bochotnicką.

Dolina ta jest jedną z piękniejszych okolic kraju naszego. Ciągnie się pośród wysokich pagórków, zaczynających się od wsi Stoku i Karmanowic, a prawdziwie poetycznych cech nabiera od Celejowa, niegdyś do pani Sewerynowej Potockiej należącego.

Położenie Celejowa jest smutne, ale nadzwyczaj malownicze. Wysokie góry, obrosnięte gęstym lasem iglastym, nadają tej okolicy urok posępny, lecz niezwykły. Bystry strumień, spływając z wyżyn, tworzy około pałacu staw wielki jak jezioro, wpływając zaś z niego, pieni się i wije u podnóża pagórków, a obrosnięty gęstą olszyną, pełen zawał i kamieni, nadzwyczaj ubarwia tę okolicę.

wyż rzezonego mniemania nie posiadamy, tradycya, to echo poetyczne ubiegłych epok, utrwaliła to mniemanie, i zważając że król Kazimierz w mieście noszącym jego imię wystawił sobie zamek, którego szczątki do dziś dnia przetrwały, i że Bochotnica bardzo bliska jest Kazimierza, mniemanie to uzasadnionem być się zdaje.

Strumień przepływający przez dolinę bochotnicką wpada niepodal od niej do Wisły, tworząc rodzaj obszerniej przystani, w której berlinki i inne statki zwykle zimują, znajdując w niej bezpieczną osłonę przed lodami Wisły w czasie puszczenia onej.

Ponieważ ujście tego strumienia rozszerza się znakomicie, droga wiodąca do Kazimierza z Nowej Aleksandryi nie mogła wprost być poprowadzona i wkroczyć musiała w dolinę bochotnicką, aż do miej-

ładniowi, stoi zamek janowiecki. Wspaniała ta ruina ozdobą jest całej okolicy, i prawdziwie ubolewać wypada, że więcej chęć zysku, niż ręka trawiącego czasu, okazała tę budowę coraz więcej do upadku chyli.

Zamek janowiecki do roku 1809 był nietknięty, i wtenczas dopiero ręka Wandalów, to jest dłużników będących zahipotekowanymi na tym zamku, (gdy szczególnym zbiegiem okoliczności, zamek oddzielną ma hipotekę od majątności terytorjalnej) chcąc chociaż w części pokryć swoje należytości, nie miłosiernie odzięrać go zaczęli ze wszystkich tych przedmiotów, które jakkolwiek wartość w nim mieć mogły.

Prysły marmury i kosztowne obicia zdarto; żelaztu, drzewu nawet nie darowano; ogołocono da-

chy; krokwie i belki spłynęły Wisłą ku Gdańskowi i.... zwałiska tylko pozostały, zwałiska, które i tak jeszcze dawniej jego świetności dowodzą.

Nieopodal, pośród ładnego lasu dębowego, stoją do dziś dnia zamieszkałe nawet zabytki tak zwanego Zwierzyńca. Jest to w stylu włoskim pałacyk niegdyś ciosowym murem opasany, z którego wspinały rozwija się widok na zamek janowiecki i okalające go okolice.

W Bronowicach, obok Góry Puławskiej leżących, Firlejowie niegdyś wybudowali zameczek w kształcie czworobocznym, bogatemi rzeźbami zdobny, w którym, jak niesie tradycja, spoczywali po łowach, gdyż okolica ta nie była wtedy jak teraz obnażona z lasów i obszerne tam rozciągały się puszcze, pełne dzikiego zwierza.

konany przez Jana Gosławskiego, oraz kielich starożytny, dar Świdzkiego Abrahama.

Zamek, na podobieństwo zamku krakowskiego wzniesiony, tworzy nieforemny czworobok, dwoma dziedzińcami przedzielony. Przy skrzydle oddzielającym drugi dziedzińiec, znajdowała się kaplica, w której dotąd spostrzedz można ślady pięknych al fresco malowań i sztukateryj. W pierwszym dziedzińcu znajdowała się niezmiernie głęboka studnia w opoce wykuta, gdyż cała ta okolica pokład ma wapiennego łomu, i dziwić się nie można głębokości studni, zważywszy wyniosłość góry na której leży zamek; odnośnie do poziomu Wisły...

Smutna jest kronika tego pięknego zamku. Mógłby długie jeszcze przetrwać wieki, gdyby rozsądna pieczołowitość oszczędzała była chociażby dachy

stawiany zbiór akwarel artystów polskich, galerya obrazów, mnóstwo sztychów znakomitych, szczególnie obcych. Zbiór ten będzie sprzedany, jak również biblioteka po uczonym Poplińskim (w Poznaniu) oraz księgozbiór po śp. Stanisławie Słotwińskim (w Głobikowej pod Pilznem w Galicyi). Będzie także można zamieniać lub nabywać duplikaty biblioteki sieniawskiej. Jest jeszcze w Krakowie zbiór obrazów, sztychów, oraz etrusków, wdowy niegdyś Michała Skotnickiego, wedle jej testamentu przeznaczony dla uniwersytetu Jagiellońskiego, lub dla hr. Arturowej Potockiej, z warunkiem aby odziedziczający przyjął ciężar płacenia 1000 fl. rocznie na stypendium dla ucznia szkoły sztuk pięknych. Pożar (w r. 1850) zniszczył nieco tę galeryę i stał się powodem zerwania układów prowadzonych z uniwer-



WIDOK ZAMKU W JANOWCU, OD STRONY OBLAS.

Budowla ta, nadzwyczaj ciekawa, której rysunek na nieszczęście z bocznej tylko strony, nie zaś z frontowej posiadamy, niemiłosiernie także rozebrana została. Jakie powody ten anti-archeologiczny czyn wywołały, nie przesądzam, lecz znikł i ten zabytek z szeregu tak nielicznych już u nas średniowiecznych pomników.

W górnych salach tej budowy, czyniąc niejaki restauracje wewnętrzne i odbijając grubą powłokę tynku, z niemałym zadziwieniem ujrano malowania al fresco i napisy. Ostrożnie więc odkryto część onych i z niedokładnych śladów to jedynie wyczytać się dało, że był to rodzaj genealogii Firlejów. Runęło to wszystko, i wieża *Firlejem* zwana nie istnieje!...

W skarbcu kościoła janowieckiego odznacza się piękny krucyfiks, ofiarowany przez miejscowego proboszcza księdza Wawrzyńca Rechlewskiego, a wy-

i żelazto, nie rozbiierając jednych, a wykowując drugich. Lecz ogołocony z nakrycia, rokrocznie coraz więcej rysuje się i pada, bo kamień wapienny z którego jest budowany, lasuje się na wilgoci i niedługo już mu istnienie rokować można.

Widok tu załączony wzięty jest od strony Oblas, z pagórków wąwozem przerzniętych, kędy wiedzie droga do Janowca, miasteczka u stóp zamku leżącego. Góry zaś które w oddaleniu za Wisłą widać, nazywają się Mięćmierz i należą do majątności Polanówki.

Wiadomości bibliograficzne.

(Archeologia. Sztuki piękne)

— Po zmarłym w Krakowie śp. Ksawerym Maślowskim, pozostał arcybogaty i starannie komple-

sytetem. Zbiór na składzie niszczy się, a jest bezużyteczny. Towarzystwo naukowe krakowskie lub przyjaciół sztuk pięknych, mogłoby wpłynąć na przyszłość owych mozolnie, z wielkim kosztem zebranych sztychów i obrazów.

— Księgarnia lipska R. Weigla ogłasza sprzedaż zupełnego zbioru utworów Chodowieckiego.

— Karol Röttger zapowiedział w Petersburgu wydawnictwo albumu fotografii z galeryi Eremitażu. Między temi spotykamy reprodukcje obrazów Orłowskiego.

— Dr. Franciszek Matejko, jako świeżo mianowany docent uniwersytetu Jagiellońskiego, rozpoczął wykłady bibliografii.

— Prawie współcześnie z odkryciem w bibliotece sieniawskiej nieznaną dotąd jedną z pierwszych, a może najpiękniej edycji Żywota Chrystusa Pana

Opecia, znalazł p. H. Skimborowicz w Wilnie egzemplarz tegoż dzieła, z dobrze dochowanym tytułem, z datą 1539 na drzeworytach.

— Zanim rozpoczęto kończone obecnie burzenie kramów otaczających w Krakowie Sukiennice od strony wschodniej, zdjęto fotografie tych budowli, czego dokonał p. J. Zajączkowski.

— Wskazówka zachowania i restauracji kościołów wiejskich, wypracowana przez p. Władysława Łuszczkiewicza (na wzór francuskiej) ukończoną została w zupełności, a przez oddział archeologii i sztuk pięknych Tow. nauk. krak. przyjętą. We Francji już od r. 1839 istnieją podręczniki takie, wydawane dla duchowieństwa przez konsystorze. Niemieckie dyecezye biskupie wydały ich mnóstwo, między którymi celuje ogłoszony w Linciu i Brunświku. Do zabytków pogańskich najlepsze są wskazówki kopenhagskie, czeska Wacla i wiedeńska Sackena. Istnieje i krakowska Towarzystwa naukowego, w latach 1850 i 1858 wydana, dziś wyczerpnięta.

— Rękopisy gotowe do wydania i książki treści historycznej oraz filologii klasycznej, są do pozbycia po ś. p. Adolfe Mulkowskim, bibliotekarzu uniwers. Jagiellońskiego.

— Wyszedł III-ci tom dzieła A. Przeździeckiego: *Jagiellonki polskie*, oraz III-ci przekładu kroniki Długosza.

— Za staraniem A. Przeździeckiego, zdjęto z oryginału fotografią wizerunku hetmana Czarnieckiego, zdobiącego jedną z sal zamku królewskiego w Berlinie.

— Wyszła w Wiedniu mapa Krakowa i jego okolic na 4 arkuszach. Jeden cal=400 sążni. Promień 2 mile od Krakowa. Błędów w nazwach niewiele; cena egzemplarza (1 f. w. a.) przystępna. Oznaczone są: góry, lasy, rzeki, bagna, łąki, pastwiska, ogrody, piaski, gościńce, drogi poboczne, kolej żelazna, wsie, zamki, młyny, kościoły, kaplice, cmentarze i t. d. Towarzystwo naukowe krakowskie posiada już część podobnej mapy okolic Krakowa, wykonaną pięknie i szczegółowo, której wydanie rychło zapowiedziano w przedmowie *Monografi opactwa cystersów w Mogile*. Karta zacytowana, ogłoszona obecnie, może być wielce użyteczną do wykonania na niej mapy archeologicznej, zamierzonej i zaprojektowanej przed 17 laty (patrz *Rocznik Towarz. nauk. krak.* ogólnego zbioru T. 23, str. 229). Wniośkujący ma-wprawdzie rodzaj pociechy, że wtedy już podał plan takiej roboty, gdy ję jeszcze sąsiedzi nasi nie mieli; przecież tamci choć później (*Niemcy Müller, 1856 r. Czesi Schmitt 1857 r. Szlach pruski, Drescher, 1867 r.*) doczekali się rezultatu, na który u nas od roku 1851 oczekujemy. Mapa archeologiczna jest rachunkiem tego co zrobiono, a zarazem podstawą, zasadą do wniosków wszelkich.

— Wyszedł *Przewodnik dla zwiedzających Poznań*. Jest to trzeci z porządku opis tego miasta, licząc: Łukaszewicza i Oehlschlägera (po niemiecku), a pomijając dzieło Raczyńskiego, obejmujące całe Poznańskie.

— Po śmierci zasłużonego Poplińskiego, został w Poznaniu bibliotekarzem biblioteki Raczyńskich p. Sosnowski, profesor gimnazjum tamtejszego.

— Dr Antoni Eichhorn kanonik, znany pisarz żywota Hozyusza, obdarza nas drugim znowu dziełem, zarówno dla historii, jako i dla dziejów literatury naszej wielce ważnym. Jest niem wydana obecnie w Braunsbergu (1868 u E. Petera) praca o życiu i stanowisku Kromera: *Der ermländische Bischof Martin Krömer als Schriftsteller, Staatsmann und Kirchenfürst*.

Wycieczka na Łomnicę tatrzańską

26 lipca 1865 r.

(Dokończenie.)

Dészcz, lubo drobny, ale coraz gęstszy, nie dozwalał nam ani na chwilę się wstrzymać. Jużemy pozdrowili czółgającą się bluszczowato po złomach granitu halną wierzbę, a nieco niżej pierwsze krzaki kosodrzewu.

Jak miłym wydał się nam ich widok, choć po nie tak długim niewidzeniu, widok tych lubych zwi-

stunów wyższej roślinności, wlewający w nas otuchę iześmy już niedaleko podnóża!

Kropiło nieustannie; jak widać miał dészcz ochotę nieproszenie odprowadzić nas aż do samego Szmeksu. Dobrze że to choć nie na szczycie! powtarza sobie każdy w duszy, godząc swój los z kaprysem nieposłusznej zachciankom człowieka przyrody.

Wtém Janusz staje, widać że nie bez przyczyny, i marszczy śniade czoło. Ha! jeszcze jeden żleb spadzisty mamy przebyć, pierwszy żleb co, niby ciasnna furtka, otwiera wniście na Łomnicę, wszak to owa próba, gdzie nas Janusz osądził za godnych oglądania zblizka oblicza wspaniałej olbrzymki. Bez najmniejszej trwogi spuściliśmy się z łatwością po omokłej ścianie, a stojący u dołu przewodnik raz ostatni kierował naszymi ruchami.

„Teraz Janusz sem nie będzie wisał za panów, bo ich dobrze wyprowadził i sprowadził. Już się zrzekam królowania; teraz panowie mnie rozkazujcie!” Rozśmieliśmy się na ten wyskok nieoziębionej fantazyi dziarskiego Janusza, a lubo przemokłym i zbieżdzonym, powróciła znowu pierwotna wesołość.

W istocie nie było czego się żalić, chyba na siebie samych. Bięda to, że zwykle tatrzańskim wycieczkom, obok najwyższej rozkoszy, jakiej doznaje umysł nie znający przesyty piękna, towarzyszą i nieuniknione prawie nieprzyjemności. Przez to jednak nie tracą się wrażenia takich wycieczek, lecz owszem tém wyraziściej uwydatniają się one, stają się nawet wielekroć miłszymi i dłużej zachowują się w skarbnicy najmilszych wspomnień.

Szybko zesłiśmy udeptaną przez zwiedzaczów ścieżką, po zielonym, połozystym, ale mimo to jeszcze licznymi odłamami granitu zasłanym upłazie.

Dészczyk cichy powoli ustawał, a gdyśmy już całkiem do doliny zesłi i na zielonej obaczyli się równinie, przerzniętej bystrym potokiem, wtenczas ustąpiła też groźna chmura, szeroko rozpiął się nad nami ciemny błękit nieba i miłe słońce wesoło złoćiło krawędzie turni, co się tak wydatnie rysowały na czystym tle nieba. W około ponad nami porozstępowały się mgły szare, i widać tylko było, jak chyżo pierzchały poza wolne już od nich szczyty...

A górą, nad mgłami, kołczato szarpane,
Straszyły jak duchy turniska,
Olbrzymio wyrosły z powodzi obłoków,
Poczwarne jak widma sumienia,
Samotne śród ziemi, jak słowa proroków,
A wielkie, jak słowa stworzenia. (1)

Nagle i Łomnica, jakby na przekór, zupełnie się nam odsłania i promieniejąca w blasku wieczornego słońca, zdaje się do nas uśmiechać, jak wczoraj. Poza nią czarne chmury.

Jak cudownie wyglądała ona w tém wspaniałem otoczeniu piętrzących się turni, które niedawno u stóp naszych się słały, a teraz nagle w groźnych wyrastają olbrzymów! Ież wdzięków nabiera uroczą dolina kryształowego potoku Pięciu stawów po dészczu ożywczym, co dyamentowemi kropelkami zdobi igły kosodrzewiny, co najśliczniejsze rubiny hojnie rozwiesza po lubych hal kwiatkach! Ież tu życia i coraz piękniejszych obrazów! Czyż zdoła niewprawne pióro oddać wszystkie te barwy aż do najdrobniejszych odcieni, wszystkie te cuda od najniklejszych szczegółów, aż do owych bezmiernych ogromów, co oblane jakimś niepojętym czarem, gloszą wzniosłą pieśń wiecznie młodej, wiecznie potężnej przyrody?...

Z rozognionem uczuciem wpatrywałem się w świat tyłu lśniący wdziękami, w to życie niby martwej matki-ziemi naszej, a przecież tak wyraziście, tak głośno przemawiające do duszy czującej. Błogosławiłem szczęśliwą chwilę, co postawiła mnie u celu jednego z najgorętszych mych życzeń; czułem się jakby odrodzony, bo:

Tu gdzie skały mkną olbrzymie,
Tu gdzie śmielsze serca bicie,

(1) Obrazy z życia i podróży r. 1846.

Tu i myśl, co w duszy płynie,
Czuje nowe, wyższe życie. (2)

Pozegnawszy się z Węgrami, którzy za nami pozostali, przedarliśmy się prędko z pomiędzy kosodrzewiny w cienisty bór smerekowy. Za chwilę przeszliśmy oba mostki. Jesteśmy znowu u wniścica doliny Staroleśniańskiej. Tu nasz obóz, tu przy szumiącym potoku odpoczniemy trochę, aby po podwieczorku rażno wrócić do Szmeksu.

Dochodziła już godzina piąta. Obaj przewodnicy nasi krzątali się około przysposobienia herbaty; pozostawiony zaś na gospodarstwie Paweł, któremuśmy poruczyli ugotować ryżu w sporym garnku, mogącym nasycić i kilku największych żarłoków, wziął się skwapliwie do spożycia przedmiotu całodziennego zajęcia swego. Myśleliśmy z początku, że Paweł podzieli się z przewodnikami naszymi, którzy istotnie wraz z nami czuli wielką cześć żołądka. Z jakim atoli zadziwieniem usłyszeliśmy Wałę i Janusza skarżących się, że Paweł sprzątnął cały garnek kaszy. Musiał mieć wilczy apetyt nasz osadnik, kiedy mu się przewodnicy nie mogli dosyć wydziwować. Szczęście, że był jeszcze inny zasób żywności.

Plan dalszych wycieczek po najwyższych szczytach Tatr spiskich rozchwiał się zupełnie; niepogoda bowiem nieprzewyciężone stawiała przeszkody. Nie mieliśmy już więc po co wracać przez góry do Zakopanego, lecz musieliśmy jechać na Jurgów i Bukowinę. W tym celu wysłaliśmy naprzód Janusza z Pawłem, aby nam w Szmeksie tegoż samego wieczora wózek zgodzili; my zaś wraz z Wałą nieco później dopiero wyruszyliśmy z miejsca miłego wypoczynku.

Słońce złoćiło wierchy wznoszące się jakby strażnice nad zapadającymi w wieczornym mroku dolinami, i szare chmury, co zwalnając pęd szalony poczęły się na olbrzymich Tatrach w dziwaczne układać kształty. Śliczna Łomnica, oparłszy ramiona swe o granitowe turnie, w zadumie spoglądała ku smętnym, dalekim równiom; uroczym jaśniała blaszkiem ta potężna królowa gór naszych. Wtém ciemna chmura zasępia jęj lica; ale słońce nie przestaje srebrzyć białych piersi dorodnej swęj ulubienicy. Może nie ostatni raz patrzę zblizka na ciebie, wspaniała strażnico ziem słowiańskich.

Poglądam rozczulony w pyszne lica twoje,
W twoje piersi wspaniałe, w twych ramion rozwoje.
Ty zasiadaś na tronie ze śniegów i lodów!

Minęliśmy cudne siklawy dziarskiej zimnej wody, a skorośmy wybrnęli z ciemnych sklepień roślin smereków, powitał nas wspaniała Nos królewski, strzegący świata tajemnic tatrzańskich; już nawet dolatywał odgłos muzyki ze Szmeksu. Ale niebo zaciągnęło się na północy i zachodzie złowrogimi chmurami; z wnętrza Tatr słycać było przerywany ryk gromu. Pośpieszyliśmy więc czempredzėj, by przed burzą dostać się do Szmeksu.

Maryan Łomnicki.

LISTY

TEOFILA LENARTOWICZA

o literaturze i sztuce włoskiej.

Smutną bardzo epoką w dziejach ludzkich jest fatalny upadek, po osiągnięciu najwyższego szczytu sławy czy doskonałości na jakimkolwiek polu, a w dziedzinie sztuki tém smutniejszą, że z wysokich sfer, kędy natchnienie myśl ludzką uniosło, sprowadza do poziomych pojęć, do duchowego bezwstydu, do rozpasania się na rozpustę myśli. Zwrot ten ku stopniowemu upadkowi nie bywa zrazu dostrzegany, a nawet przez czas jakiś pozorna wielkość zdaje się utrzymywać, zanim okaże się jawnie ostateczna nicność; zwycięża walka fałszywych kapłanów z ostatnimi szczerymi sługami prawdy, zwykle z powodzeniem pierwszym odbywa się w oczach ogółu, obojętnego na wypadek walki.

(2) Antoniewicz.

Epoka ta scharakteryzować się daje dwoma głównymi rysami: na miejscu ludzi genialnych, którzy potęgą ducha zdobywali uznanie możnych tego świata i budzili zapał w duszach szlachetnego prostactwa, stają mistrze oficjalni, bez ducha miłości, pełni wszakże nauki tak wsztuce swojej, jak wsztuce dworowania, i protegowani, stają się wyroczniami, stanowiącymi o talencie i umiejętności innych artystów, nie ustępujących im co do zdolności ani nauki, lecz mniej szczęśliwych, lub nieumiejących poniżyć się do pochlebstwa i służebnictwa. Obok tych oficjalnych mistrzów pojawia się inny rodzaj fałszerzy. We Włoszech, gdzie ogół ma czułe i wprawne oko w spostrzeganiu wszelkich objawów na polu sztuki, kategoria o której chcę mówić nazywana bywa *bottega*, kram. Owóż artyści którzy ostateczny cios zadają wielkości i zbawiennemu na społeczeństwo wpływowi sztuki, są to kupcy w świątyni, wyzyskujący wrodzone zamiłowanie człowieka do piękna i wykonujący przedmioty, mające im służyć za towar, na zimno, bez dążności, bez myśli głębszej, z celem jedynym przyciągnięcia oka efektem czy formą. Pośród takiego zastępu fałszerzy i przekupniów, artysta, co ukochał piękno i prawdę i z serca do serc bratnich przemawiać pragnie, przechowujący ostatnią iskrę ognia świętego, staje się przedmiotem nienawiści wszystkich, chociażby był najskromniejszym. Moźni niechętnym okiem na niego poglądać będą, czując instynktowo że ich wielkość dla niego nie jest bożyszczem; współzawodnicy, na świeczniku publicznego uznania stojący, nienawidząc go skrycie dla rzeczywistej duchowej wyższości, jawnie będą go lekceważyć, wpływając tym sposobem na sąd ogółu, często owym pędem biegnącym za natchnieniem złém czy dobrém, byle z góry idącym; a dopieroż owi frymarzący rzeczami inteligencji kramarze, obrzucają go śmiechem i szyderstwem.

Takim męczennikiem miłości prawdy w sztuce był Domenico Zampierri, zwany il Domenichino. Urodzony w Bolonii r. 1581, w lat 16 po śmierci Rafaela, Dominikin ukazuje się w historii malarstwa włoskiego, jakby późno rozwity kwiat obcej strefy, pod niełaskawe rzucony niebo. Moźnaby przypuścić że Zampierri charakterem swoim i sposobem życia stwarzał sobie nieprzyjaciół. Owóż przeciwnie, okazywał on od dziecka niezwykle przymioty serca, słodycz i dobroć do pokory największej dochodząca, z zamiłowaniem do sztuki i pracowitością nad wiek. Syn ubożego szewca, oddany przez rodziców do malarza Lodovico Carracci na naukę za którą płacić nie mogli, mały Domenico obowiązany był wysługiwać się w pracowni, porządkując, zapalając światła i t. p., dopiero gdy się z tych czynności wywiązał, siadał w odległej sali kacie, dla rysowania danych mu studyów. Nikt z licznych uczniów maestra Carracci nie zważał na biednego szewczyka, aż gdy przyszło porównywać rysunki, okazało się że najlepszym był zrobiony przez Dominikina, który z ręką ucieszonego tą niespodzianką maestra odbierając nagrodę, stał zmieszany, nie śmiąc ust otworzyć. Odtąd przez zacnego swojego mistrza popierany, pracował nieustannie lat kilka pod jego okiem i zjednał sobie głośne imię w Bolonii.

Ale nie wystarczały mu zdobyte na polu sztuki postępy; on myślą i duszą przenosił się do Rzymu, zkąd rozchodziły się na całe Włochy promienie sławy arcy mistrzów. Popęd dany sztukom pięknym w Rzymie od lat stu blisko, niewyczerpane podawał materiały dla architektów, rzeźbiarzy i malarzy. Oprócz ciągle prowadzonej fabryki kościoła św. Piotra, coraz nowe kościoły i pałace powstawały, w których ozdabianiu fundatorowie i właściciele przesadzali się. Nie było już zaiste ów zapał dla sztuki, rozbudzony przez protektorów jak Juliusz II i Leon X. Ostentacja i współbieganie się możnych i bogatych między sobą były teraz motorami nowych mecenasów, i ztąd między artystami owego czasu coraz większe budziły się zawiści, jak to zwykle zdarza się, kiedy nie o doskonałość, ale najprozaiczniej o zysk idzie.

W takiejto epoce Domenico Zampierri przybył do Rzymu, razem z przyjacielem swoim Albano, i udał się dla dalszych studyów do Annibala Carracci, synowca pierwszego swego mistrza, ale wyższego doskonałością rysunku i kompozycją, a przytém człowieka wielkiej zacności, prawdziwego artysty, miłu-

jącego młodzież i usiłującego uczniom swoim ułatwiać drogi doskonalenia się. Był on wezwany z Bolonii do Rzymu przez kardynała Farnese, dla wykonania fresków w pałacu z wielkim przepychem ozdabianym. Dominikin, wysoko przez mistrza swego ceniony, oddał się pracy z niesłychaną gorliwością. Niedośc mu było malować wspólnie z uczniami przez godziny wyznaczone, nie opuszczał pracowni nawet w czasie ogólnego wypoczynku, a gdy pomimo tak usilnej pracy dłuższego potrzebował od innych czasu, zwłaszcza do kompozycji, współzuciniowie przewalili go wołem. Posłyszawszy to, maestro Carracci wyrzekł: „Wól ten uprawia bujną rolę, która sztukę malarską wiele z bogaci.“ Od owiej epoki Dominikin wzbudził między współzawodnikami swoimi zawiść która się coraz wzmagala, w miarę jak talent jego się rozwijał i zwycięzko wychodził z powierzanych mu przez Annibala robót. Mianowicie odznaczył się, malując wraz z Carraccim freski pałacu Farnese, pośród których prześlizgnęła kompozycją przedstawiająca śmierć Adonisa, zachwyciła prawdziwych miłośników malarstwa.

Polecony kardynałowi Aldobrandini, synowcowi papieża Klemensa VIII, przez jego maggiordomo, gdy stał się na wezwanie przed kardynałem, ten zmierzwszy okiem skromną i nieukładną postać Dominikina, odesłał go z niczém, a swojego maggiordomo złażał, że mu tak niepoczesnego i nieokrzesanego zalecał człowieka. Ów jednak maggiordomo kardynała, niezrażony pierwszą próbą zbliżenia Dominikina do pana swego, a znać szczerze wielbiący piękno, wzięwszy od artysty jeden z ukończonych świeżo jego obrazów, podobno śmierć św. Piotra przedstawiający, postawił takowy w sypialni kardynała, wybrawszy miejsce tak, aby oczy pana od razu padły na to malowanie. Tym razem odniósł tryumf zupełny; kardynał bowiem, uderzony pięknocią obrazu, natychmiast zapytał o nazwisko malarza, a dowiedziawszy się że to ów niedawno wzgardzony Zampierri, wybaczył mu nieelegancką i nieobiecującą powierzchowność, i wkrótce polecił mu roboty w willi Aldobrandini.

Następnie malował Dominikin freski w kościele na Kampanii, w miasteczku Grotta Ferrata. Są to obrazy historyczne, przedstawiające wjazd cesarza niemieckiego do Bolonii; pokrywają dwie główne ściany kaplicy, a boczne zapełnione są mniejszych rozmiarów kompozycjami z życia św. Nila pustelnika. Freski te nieporównanej doskonałości, tak co do kompozycji, jak świetności kolorytu, dają miarę potężnego talentu Dominikina, a są one zarazem świadectwem jego bezinteresowności; wezwany bowiem przez mnichów do malowania, podobno innę nie otrzymał za swoje arcydzieła nagrody, prócz mieszkania i wyżywienia przez ciąg tej pracy; nadto miejsce odludne, zdala od wszelkiego ruchu, nie obiecywało nawet goździwego zadowolenia miłości własnej.

Dziwnie też robi na podróżniku wrażenie widok tego mistrzowskiego malowania, gdy po kilkogodzinnej drodze przez pustą rzymską Kampanią, znajdując się w owiej kaplicy, dziś tylko na żądanie zwiędzających otwieranej. Droga prowadząca od Albano ku Frascati, przy której na uboczu położona jest Grotta Ferrata, usposabia podróżnego do jakiejś niespokojnej melancholii. Myśl znuzona zarówno jak i ciało, wyrwa się, jakby uciec pragnęła z tej gniołającej martwoty, zapomina się o celu wycieczki i tylko potrzeba wypoczynku i widoku żywej pocziwnej duszy coraz więcej czuć się daje.

W takim usposobieniu było nas dwóch wędrowców, których wywiodła z Albano chęć oglądania fresku Dominikina, gdyśmy nareszcie w skwarne południe zatrzymali osielki nasze na małym placyku przed kościołem w Grotta Ferrata. Znalazł się tam mnich usłużny, który za cicerona służyć się ofiarował, i zaledwie dawszy nam odwilżyć gardło szklanką wina, poprzedził nas z kluczem w rękę do kaplicy.

Freski nie od razu uderzają oczy, są bowiem od wejścia na bocznych ścianach; ale stanawszy we właściwym punkcie, patrząc od pierwszego rzutu oka olśniony jest żywemi, że ściany występującymi postaciami. Ja przynajmniej zapominałem w tej chwili o tylko co przebytej nużającej drodze, i było mi jak owym w bajkach wędrowcom, którzy przez dobroczynnego czarodzieja nagle ze świata rzeczywistego przeniesieni zostają w nieznane strefy, pełne blasku

i piękności. Widziałem przed sobą scenę średnio-wiecznego życia: pochód rycerzy konnych, zbrojami do ziemi okrytych, lud w strojach najrozmaitszych, postacie nacechowane duchem czasu swojego. Jak rycerz—to rycerz prawdziwy, godność i powaga w każdym ruchu, siła uszlachetniona w człowieku. Spojrzysz na postacie z ludu: co za prawda w tych gestach naiwnego podziwu i zaciekawienia! jakie szczerze prostactwo w tych gromadkach, kupiących się na przejściu zbrojnych hufców! jakież tam szacowne typy głów, dzisiaj zda się już zatracone! a to wszystko jak żywe, tak doskonały tam rysunek, prawdziwy koloryt i gra światła mistrzowsko przeprowadzona. Stałem odrzucony tém niespodziewaném wrażeniem, i nie wiem jak długo byłbym tak pozostał w niemym podziwie, gdyby nie mnich cicerone, który niecierpliwy by mi dalsze pokazać malowania, odezwał się, zwracając uwagę moją na boczne ściany. Z pewnym przymusem oderwawszy oczy od świetnego obrazu, spojrzałem w kierunku wskazanym i zrazu prawie zniecierpliwiony, nie widząc nic uderzającego w tym fresku na tle pejzażowém, skąpo kilku postaciami ludzkimi ożywioném, zapytałem mnicha co przedstawiają trzy te oddzielne, niewielkie obrazy, na których powtarza się zawsze jedna główna figura starca. „Są to, odpowiedział, ustępy z życia św. Nila pustelnika. Trzeba zbliżyć się cokolwiek i wpatrzeć w to malowanie, chcąc dostrzedz jak to piękne. Panowie cudzoziemcy co tutaj przyjeżdżają, zawsze się najwięcej temu świętemu Nilowi przypatrują.“ Nie ta ostatnia uwaga, ale ton przekonania i przejęcia się z jakim mnich wymówił słowa: „jak to piękne,“ skłonił mnie by go usłuchać. Stanawszy na oznaczonym punkcie, patrzyłem na owe malowania. Pierwszy z trzech obrazów przedstawia świętego pustelnika pod wielkim drzewem, nawpół siedzącego, jakby podnoszącego się ku odejściu, a po za nim w pewnym odstępie parę postaci z gestem na niego wskazującym. Starzec z głową ku niebu wzniesioną, z wyrazem twarzy bolesnym, zda się szeptać modlitwy. Na moje zapytanie co za fakt ten obraz przedstawia, mnich powiedział, że święty na pokusę przez złego ducha wywieziony, modlitwą odgania diabłów, co ku niemu daremnie zbliżyć się usiłują. Na dwu drugich ścianach widać świętego uzdrawiającego cudownie i służącego pokornie ubogim wędrownym. W tych obrazach nie postacie ludzkie stanowią największą wartość, ale pejzaż, którego ton ogólny i światło rzeczywiście czarująco na widza działały. Kampania to rzymska z całym urokiem swoich szerokich, czystych linii, z wegetacją skąpą, ale owiej szmaragdowej miejscami zieloności, tak silnie, a jednak nie ostro odbijającej od świetnej barwy atmosfery, złożonej zda się z pyłków złotych. Drzewo stojące pod cieniem skały, jakże cieszy oko pośród tej wielkiej płaszczyzny, oświeconej gorącymi promieniami południowego słońca! I znów utonąłem wzrokiem w malowidle mistrza, i patrząc na tę cichą, rozległą, promieniejącą przestrzeń w tak ciasnych objętych ramach, zapomniałem o poprzednio widzianém arcydziele, taką pędzel Dominikina ma potęgę.

(Lokończenie nastąpi.)

KORESPONDENCA OD REDAKCYI.

Panu Wielistawowi. Jeżeli *incognito* swego naruszyć nie chcecie, to prosimy najuprzejmiej o wskazanie nam przynajmniej adresu *poste restante*, bo radzielibyśmy napisać do Was obszerniej.

Panu D. M. z pod Skały. Zadanie szachowe zostanie użyte, jeżeli po sprawdzeniu okaże się dobrém.

Panu Kl. K. w Warszawie. Mniej więcej gładkie rymowanie, nie jest jeszcze poezją, tém bardziej gdy przedmiotem wiersza są uczucia wyłącznie erotyczne.

Panu M. K. z Białej Rusi. Utwory pańskie nie kwalifikują się do druku. Nadeslanego rubla obróciliśmy na cel dobroczynny.

Panu M. L. w Poznaniu. Artykuł otrzymaliśmy. O nadesłanie fotografii prosimy.

Panu F. H. w Nowym Dworze. Autorem wierszyka o który pan zapytuje nie jest Miron, lecz inny młody poeta. Nazwiska jego wymienić nie jesteśmy upoważnieni.

Panu R. K. w Warszawie. Wiersze pańskie drukowane nie będą.

Panu Z. G. D. w Dąbrowce. Prosimy o nadesłanie fotografii lub rysunku i krótkiego opisu.

Aleksandra Rakiewiczowa.

W roku 1851 Halpertowa opuściła scenę warszawską, na której zbierała przez długie lata zasłużone wieńce. Ubytek jej sprawił szczerbę niewypełnioną, która przez długi czas dawała się uczuć dotkliwie. Czyniono próby bezskuteczne, gdy szło o wzmocnienie grona żeńskiego dramatycznego rzeczywistym jakim talentem.

Zjednała sobie rozgłos na scenie lwowskiej Aszpergerowa, grywająca tamże od lat 20 blisko artystka tragiczna. Powołano ją; wystąpiła dwa razy w październiku 1858 r. w Adryanie Lecouvreur i w Maryi Joannie; nie podobała się krytyce dla wielu względów. Z tych jedne niezawisłe od niej, leżały po za obrębem sztuki, inne wynikały ztąd, że artystka występowała w epoce, kiedy głos jej stracił metaliczność, a wiek nadwreżył wdzięki. Dwie te wady były nie do darowania w kobiecie tam, gdzie przyzwyczajono się oddawać hołd urodzie i ruchliwości artystek, wiedzących że są młode.

Za Aszpergerową podążyły urodzive i młode artystki: panna Targowska ze Lwowa i pani Rakiewiczowa z Rzeszowa. Pierwszej występy, acz znamionowały osobę obłą z sceną, nie powiodły się, bo scena warszawska miała kilka podobnie wyrobionych artystek.

Druga zato zjednała sobie odrazu sympaty publiczności, która pierwszy jej występ d. 27 października 1858 w r. w roli Lektorki, przyjęła z entuzjazmem. Publiczność widziała przed sobą osiemnastoletnią osobę, niezwykłej piękności, szlachetnego a nade wszystko skromnego ułożenia, wygłaszającą rolę głosem dźwięcznym, pełnym, metalicznym, jakiego, jeżeli brak go z natury, ani sztuka, ani czas nie wyrobiją.

Rakiewiczowa urodziła się 6 marca 1840 r. w Płocku, z Aleksandra i Rozalii Ładnowskich, artystów sceny krakowskiej. Za mąż poszła w r. 1856. Wystąpiła po raz pierwszy w styczniu 1854 roku podczas re-

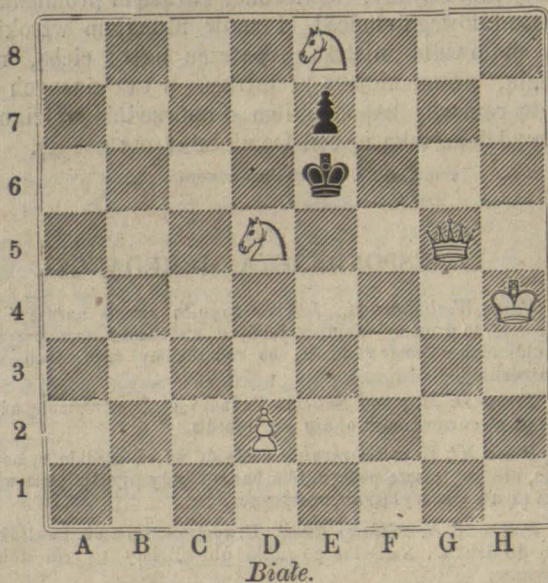


PANI RAKIEWICZOWA, w roli Maryi Stuart.

Szachy.

ZADANIE XXVIII.

Białe zaczynają i dają mata za 3-ém posunięciem.
Czarne.



Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 27.

Białe.

Czarne.

- 1) f8—e6 1) d4—f3.
 - 2) e6—f4 2) Jakkolwiek.
 - 3) f4—d3 lub d6—e6 † i mat.
-
- 1) d4—f5.
 - 2) e4—f5 biorą † odkryty. 2) Jakkolwiek.
 - 3) e6—d4 † i mat.

duty w Krakowie, w sztuce Trafila kosa na kamień, w roli Ludwika; drugi raz w kwietniu 1854 r., w kompanii Pfeifra, w sztuce Okno na pierwszym piętrze, w roli Kasi. W trupie tej grywała do 28 października 1856 r. głównie w Krakowie, jeżdżąc z takową na prowincję, a nawet do Wiednia i Wrocławia, gdzie entrepreneur nieźle robił interesy.

Następnie występowała w trupie Antoniego Gubarzewskiego i spółki, jeżdżąc po miastach zachodniej Galicyi. W kompanii tej wcale dostatniej i doborowej (uformowano ją bowiem celem konkrowania o teatr krakowski), pani R., na którą już recenzenci niemieccy w Wiedniu zwrócili uwagę (w następstwie czego proponowano jej nawet wstąpienie do cesarskiego teatru w Burgu), rozwinęła wrodzone zdolności swoje w rolach głównych, przeważnie dramatycznych.

Na scenie więc warszawskiej pani Rakiewiczowa, acz młodziuchna, wystąpiła jako wyrobiona już artystka. Liczyła wprawdzie po za sobą zaledwie lat cztery zawodu scenicznego, ale talent nie potrzebuje dosługiwać się emerytury, aby dobić się uznania, bo co ma zdolności to rośnie szybko. Talent wybija się odrazu na jaśnie, a praca nadaje mu tylko pewniejszą formę.

Pani R. w r. 1864 nie występowała na scenie warszawskiej, grywała atoli gościnnie w Krakowie i Lwowie. Ze sympaty publiczności tutejszej idzie w parze z sympatyą gdzieindziej i z ostatecznym słowem poważnej a bezstronnej krytyki, łatwo się przekonać, czytając zdania motywowane znawców w obu tych miastach.

O jej występach w Krakowie stali i znani sprawozdawcy dwóch pism krakowskich rozwiędli się szczegółowo, oceniając grę pani R. w sztukach: Ma-

rya Joanna, Marya Stuart, Życie szulera i Adryana Lecouvreur.

Powiedziano tam: „Pani R. należy do tego grona wybranych, którzy sumiennie zastanawiają się nad rolą, a wytrwałą pracą nadają talentowi swemu pewien wybitny kierunek. Taką jest gra jej w Maryi Stuart. Wszystko tu było obmyślane, oparte na studyach; ale bo też role tego rodzaju trudno improwizować. Wystąpienie jej zrobiło wielkie wrażenie. Cała gra uczuć, miotających sercem więzioną przez zawistną rywalkę królowej, była po mistrzowsku uwydatnioną.“

Podobnie w drugim piśmie zganiono grę innych aktorów, a potem dodano: „Lecz rola w rękach pani R. nagrodziła nam usterki reszty grających. Widzieliśmy Maryę znakomicie odegraną, w najdrobniejszych tej trudnej roli odcieniach. Oprócz wrodzonego talentu, niezaprzeczenie znakomitego, oprócz wszystkich właściwości wymogom sceny odpowiadających, posiada pani R. rozumnym studyowaniem nabytą pewność gry i ruchów, które z niej czynią pierwszorzędną artystkę. Cieniowanie głosu według skali uczucia naturalnie uwydatnionego, przejście się najżywsze odgrywanym charakterem, wreszcie ruchy i doskonała mimika, oto przymioty tej artystki. W Maryi Stuart widzieliśmy w pełni upostaciowany charakter królowej, z całym jej majestatem wzniosłym i szlachetnym i z każdym rysem głębokich jej i zmieniających się uczuć. Rozmowa z Elżbietą i wyższość Maryi nad nią, choć na kolanach u stóp jej kłęczącej, była szczytem gry pani R. Czy to szept cichy najgłębszego uczucia dumy, czy krzyk rozdrażnionej miłości, wszystko to miało odpowiedni wyraz, tak w głosie, jakoteż i w mimice.“

Jednogodność pochwał i co do innych ról, kończyła się ostatecznie wyrażeniem krytyka, iż pani R. „co do gry swój doskonałej, może iść o pierwszeństwo z najlepszymi artystkami największych teatrów;“ słowem występy pani R. w Krakowie zjednały jej życzliwość i publiki i felietonistów.

We Lwowie trudniej jest zadowolić publiczność, bo ta niemal bałwochwalczo przywiązuje się do miejscowych talentów. Wystąpiła tam pani R. w Adryanie, Maryi Joannie, Barbarze Radziwiłównie, w Makbecie. Występy te były ciągłym tryumfem, a koroną tryumfu była rola lady Makbet, która wywołała osobne studium nad jej grą (w jednym z pism literackich), pióra Platona Kosteckiego.

(Ob. dodatek.)

Rebus.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 35.

Człowiek bez sumienia, to okręt bez sternika.
(Dodatek.)

„Pani R., powiada inny lwowski krytyk, jest już teraz artystką pierwszego rzędu. Od natury wzięła to, co dla artystki potrzebne: głos dźwięczny, prawdziwie kobiecy i od najniższej do najwyższej skali do wszelkich przemian sposobny, wyrazistość twarzy, wzrost i postawę tragicznej bohaterki, głębokość i prawdę uczucia. Grą swoją przypomina ona pannę Żuczowską, późniejszą Halpertową. Klasyczne tragedye Szekspira, Szyllera, Getego, to jej zawód.“

Podzielając całkowicie przytoczone tu zdanie, uzupełniam je w ten sposób, iż pani R. jest na tutejszej scenie istotnie godną następczynią Halpertowej. Role seryo dramatyczne, oto dla niej pole. Jako monarchini, czy w Szklance wody, czy w Maryi Stuart, imponuje majestatem wielkości, dykcją, spokojem i rozważą, słowem tém wszystkiém, co tylko nieopatrzna krytyka za wadę artystce poczytywałoby gotowa.

Pani R. ma za sobą młodość i wdzięki, rutynę i talent niezwykajny; potrzeba tylko aby chciano i umiano talent ten zużytkować. Repertuar jej występów, z kilkuset ról złożony, jest dostatni, ale przeważnie nie z tutejszej sceny. Reżyserja winaby zwrócić na to uwagę, bo na tém zyskałby i repertuar i widz, obdarzany doborowemi dziełmi wyższej wartości.

Po powrocie pani R. z Krakowa i po wystąpieniu d. 1 marca 1865 na scenie tutejszej w roli Lektorki, spotkał ją zaszczyt, iż publiczność ofiarowała jej w upominku złotą bransoletkę, w dowód uznania zasług rzeczywistych artystki.

W zakończeniu tego szkicu wzmiankuje, iż p. Miłaszewski dyrektor teatru we Lwowie, uczynił pani R. w r. 1864 propozycją przeniesienia się na scenę lwowską, ofiarując jej wynagrodzenie miesięczne znacznie większe niż je tutaj pobiera, a nadto dwa benefisy. Artystka jednak wolała służyć tutejszej publiczności.

Gazeta Teatralna, wydawana przez pana T. Lebruna w r. 1866, wzmiankowała o przekładach dokonanych przez panią R., z których część weszła na repertuar prowincjonalny. Są niemi: G. Sand: Margrabia de Villemer; — tegoż: Szatan umowy (w 2 ak.); Dupenty: Fualdes (dr. w 5 ak.); — Ubogie Iwice (kom. w 5 ak. rozpisana na role w tutejszym repertuarze); Dwaj niebezpieczni (dr. w 5. ak.); — Siostrzenica i niedźwiedz; — Otello; — Kasander, — ostatnie jednoaktowe.

K. Estreicher.

KORRESPONDENCA TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO.

(Dokończenie.)

Paryż, w sierpniu.

Dumas tedy wystąpił z przedmowami, które wielką sprawiły wrzawę. Każdemu się one i podobały i nie podobały. Niejeden i niejedna znaleźli tam siebie. Autor tu i owdzie zrobił wyłom w murze życia prywatnego i pod przejrzystą osłoną pełnego elegancyi stylu, ukazał w rzeczywistości postacie, według których modelował bohaterów i bohaterki swoich utworów. Nie wchodząc w szczegóły, chciałbym choć pobieżnie zapoznać czytelnika z przedmową podług mnie najzupełniejszą do „Syna naturalnego“ (Fils naturel). W niej dotyka autor najdelikatniejszych stron własnego serca i wydobywa z nich dźwięki pełne rzewnej jakiejś harmonii. Mówi o wielu rzeczach: o artyźmie w ogólności, o młodzieńcu przejętym tym ogniem Bożym, co ze zwykłego człowieka urabia pisarza, o gwiazdach pierwszej wielkości — Wiktorze Hugo, pani Georges Sand i Lamartinie, świecących w konstelacji francuzkich literatów, o ojcu, o sobie. Przypatrzmy się portretowi młodego autora. Ach! byłoby go tylko mógł nieźle skopiować...

„Czy widzicie tego nieszczęśliwego młodzieńca o twarzy skurczonj, skroniach żółkłych, ustach wykrzywionych, oczach błędnjch? Urodził się on na to, a żeby swobodny chodził za plugiem, siejąc dumnie ziarna przyszłego zbioru; wieczorem byłby jadł przy ognisku zarobiony we dnie chleb; każdy z jego kroków, każdy z jego ruchów byłby dawał życie! Przypatrzcie się mu w wielkiém mieście, jak dzień i noc ciśnie głowę w dłoniach, jak ją zmusza do tworzenia potem

oblanych opowiadań, awantur, kombinacyj dla zgłodniałej tłuszczy, która go pożera i do innego przechodzi, gdy nie już z niego wydobyć nie może. Przez dłuższy lub krótszy czas przeciąg człowiek ten każe Henryce iść za Artura, mężowi schodzić kochanka, truć tego, gilotynować owego, zawieszając z ręcznie interes przy końcu rozdziału lub felietonu. Będzie sprzedawał kolejno miłość, zazdrość, łzy, historję, facecye, złodziejski język, satyrę, moralność, pochwałę, obelgę, politykę, postęp, uczucie, sprośność, religję, za dwa do pięciu susów od więrsza, stosownie do gustu czytelnika, tendencyi dziennika i kursu chwili. Przejadłszy własny kapitał, będzie żył z kapitału innych, będzie przerabiał stare komedye, łałtał stare romanse, odgrzewał pozostałości starych wieków. Lecz dziennik nagli, teatr nie może czekać. Weźmy się we dwóch, we trzech! będziemy pracowali nocami!... A siła? — tę da kawa. A natchnienie? — znajdziemy je w absencie. Dalej, mózgu ludzki, wydawaj z siebie stronnice, frazesy, więrsze, przewracaj się sto razy na dzień, zwijaj się sam na sobie, pęcznij jak gąbka, wyciskaj się jak cytryna, aż wyschniesz raptem, aż szaleństwo trząśnie tobą jak drzewem na równinie, aż sparalizowanie nadejdzie, aż ogłupienie przyjdzie i śmierć wszystko zakończy.“

O! cóż to za wierny obraz dziewięciu dziesiątych pracowników pióra, którzy stokroć lepiej byłiby wyszli, gdyby przy plugu pozostali, lub do jakiego rzemiosła się wzięli!

Ale popatrzmy na inny obraz, który jest niejako uzupełnieniem poprzedniego. Dumas syn pisze o ojcu, ale zaczyna od dziada, któremu następujące poświęca wyrazy:

„Żołnierz i generał rzeczypospolitej, dusił konia kolanami, kruszył kask zębami i sam jeden bronił mostu Brixen przeciwko przedniej straży złożonej z dwudziestu ludzi. Rzym byłby mu przyznał zaszczyty tryumfu i mianował go konsulem. Francja, spokojniejsza i oszczędniejsza, odmówiła szkół jego synowi, i ten syn, wychowany wśród lasu, na otwartym powietrzu, pod otwartym niebem, party potrzebą i geniuszem, spadł pewnego dnia na wielkie miasto i wkroczył w literaturę, jak ojciec jego wkroczył wśród nieprzyjaciół, roztrącając, waląc, wywracając wszystko co mu miejsca nie ustępowało. Wówczas rozpoczęła się ta cyklopowa praca, która trwa od lat czterdziestu. Tragedye, dramata, historję, romanse, podróże, komedye, wszystko to ojciec wrzucił w formę twego mózgu i świat fikcyjny nowemi zaludniał kreacyami. Dzienniki, książki, teatru trzeszczały, zaciasne dla twoich potężnych ramion; żywił Francją, Europę, Amerykę; z bogactw księgarzy, tłumaczy, plagiatorów; tchu pozbawiał drukarzy, o rozpacz przyprawiał kopistów, i pożerany potrzebą produkowania, niezawsze może dość wypróbował metal którymiś się posługiwał, i wtedy w piec rzucił na chybił trafił, wszystko co ci pod rękę wpadało. Roztropny ogień uczynił podział. To co pochodziło z ciebie, odlało się w bronz; to co pochodziło z kadład, rozwiało się w dym. Kułeś dużo lichego żelaza; lecz w odwet, iluż to z tych, co powinni byli pozostać nieznanymi, oświeciło się i ogrzało przy twojej kuźni!“

I dalej jeszcze:

„...Musiałeś nieraz słyszeć ten frazes: „rzeczywiście, syn jego ma więcej niżeli on talentu.“ Jakże cię to musiało śmieścić! Otóż nie; byleś z tego dumny, byleś szczęśliwy, jak każdy ojciec; pragnąłeś temu wierzyć, możeś wierzył nawet temu co mówili. Drogi, wielki człowieku, naiwny i dobry, który byłbyś mi oddał twoje sławę, jak mi dawałeś pieniądze, kiedy byłem młody i leniwy, szczęśliwy jestem że mam nakoniec sposobność pochylenia przed tobą czoła publicznie, oddania ci hołdu przy pełnym blasku słońca i przyciśnięcia cię do piersi w obec przyszłości!“

Miło jest spotkać takie wyznanie, które, rozebrane z retorycznych ozdób, jest trafniem ocenieniem wzajemnego stosunku dwóch pisarzy, Dumasa ojca i Dumasa syna. Zdarzali się tacy, co synowi przyznawali nad ojcem wyższość; lecz były to sądy dorywcze, nietylne literackie, ile, że tak powiem, obyczajowe. Ludzie naiwność starego Dumasa, bawiącego się własną sławą i nie mogącego się nią dość nachwa-

lić, brali za pychę i chcieli go za nią ukarać. Trzeba jednak powiedzieć, że się stary Dumas nawet gniewać za to nie umi, pomimo że niekiedy udaje że się gniewa. Jego rozkoszą, jego nagrodą jest, kiedy ludzie o nim piszą i mówią: więc chociażby pisali i mówili niekoniecznie pochlebnie, niebardzo go to martwi, byle nazwisko jego było drukowanem i jeszcze drukowanem. On, dziś już starzec, rozdrukowany we wszystkich częściach świata, znany jak żaden może z pisarzy znanym nie jest, gdy ujrzy swoje nazwisko w kolumnach jakiego dziennika, cieszy się tém, jak studentik. Wiadomo jakiego doznał zmartwienia, gdy razu pewnego wezwany był na świadka ślubu, a skoro przyszło do zapisania jego nazwiska, urzędnik w merostwie zapytał go jak się „Dumas“ pisze, przez s, czy przez t?

W przedmowie do „Syna naturalnego“ znajdują się jeszcze prześlicznie skrócone portrety Lamartina, Wiktora Hugo i pani Sand; ale zdalekoby zabrnął, gdybym je zechciał kopiować, a przytém moje blade kopie nie mogły dać dokładnego o oryginałach wyobrażenia.

Przedmowa do „Ojca Rozrzutnego“ (Père prodigue) jest studjum sztuki dramatycznej we Francji. W niej Dumas syn daje trafną charakterystykę Scribe'go, którego przezywa „Szekspirem chińskich cieni.“ Przyznaje mu jedną zaletę: głęboką znajomość efektów scenicznych, połączoną z umiejętnością zastosowania się do gustu publiczności. Był to, według autora Przedmów, zręczny kuglarz, umiejący pokazać gałkę na początku pierwszego aktu, ukryć ją, zainteresować nią widzów, przesunąć w ukryciu przez pięć aktów i znów pokazać przy końcu ostatniego. Konkluzja jaką Dumas syn temu studjum daje, jest następująca: „Autor któryby znał człowieka jak Balzac, a teatr jak Scribe, byłby największym autorem dramatycznym, jaki istniał kiedykolwiek.“

Przedmowy Dumasa stały się we Francji literackim ewenementem, pierwszorzędnym wypadkiem, któremu nie sprostały żadne inne, bądź literackie, bądź z literaturą styczność mające wypadki, jako to: „Madame de Chamblay“, nowy pięcioaktowy dramat Dumasa ojca „La France nouvelle“, dzieło politycznej treści, napisane przez Prevost-Paradol, „La Lanterne“ peryodyczny pamflet polityczny, wydawany i pisany przez Henryka Rochefort i procesa pomiędzy literatami. Wszystko to jest wielce ciekawe, ale nie sposób mi o tém wszystkiém pisać. Więc poprzestaję muszę na pobieżnej wzmiance o tém co, według mego zdania, ma doniosłość przykładu.

Niegdyś w Lacedemonii, w celu wzbudzenia w Spartanach wstrętu do pijaństwa, pokazywano im tarzających się po ulicach pijanych Helotów. W tym samym celu możnaby literatom angielskim, niemieckim, włoskim i naszym pokazać procesa jakie w upłynionym miesiącu toczyły się w policyi poprawczej pomiędzy redaktorami „Figara“ i „Latarni“ z jednej a „Inflexible“ z drugiej strony i dać im do odczytania dusery, jakimi ci panowie wzajemnie się traktowali. Przedmiotem procesów były: oszczerstwa, obelgi ustne i zniewagi czynne. Jedni drugim zarzucali oszustwa, złodziejstwa, gwałty, przedajność i t. p. rzeczy, jedni na drugich wymyślali, policzkowali i kijami bili. Zdaje się że nie można już w świecie literackim helotyzmu do wyższego posunąć stopnia. I to dzieje się we Francji, celującej pomiędzy narodami... grzecznością! Niechże to posłuży jako dowód, że wzorów francuzkich nie można bezwarunkowo jako wzory przyjmować. Są w nich strony świetne i naśladowania godne, lecz, niestety! są i tak mętne, że ich widok obrzydliwość sprawia. Żal doprawdy języka, naginającego się pod piórem ludzi utalentowanych do oddawania w wytwornj formie tego, co swarzące się przekupki z zapienionych gniewem ust ciskają; żal talentów, takich na przykład jak Rochefort'a, co obudzić potrafił z letargu dowcip francuzki, zużywających się na karczemnych kłótniach i zajściach. Spodziewać się wszakże należy że to przejdzie i zatrze się, sami bowiem Francuzi te procesy nazywają „abominables.“

Miałbym jeszcze ochotę pisać nie o „La France nouvelle“ — tego dzieła jeszcze nie czytałem, lecz o „M-e de Chamblay“ którą na scenie widziałem; ale brak mi już miejsca. Dodam więc na zakończenie

wiadomość, że sędziwy bojownik literacki, Alfons Karr, zaopatrzony w zapasy czerpane z łacińskich autorów, wstąpił znowu w szranki z dalszym ciągiem „Os“ (Les Guepes), które drukuje „Siècle.“

SILNI I SŁABI.

Wzorki w wolnych chwilach wycinane.

(Dalszy ciąg).

Dnia następnego wziął się do czytania pozostałych utworów, pieśni moralnych, dydaktycznych, okolicznościowych. Znalazł tam, równie jak w poprzednich, wiele rzeczy niezrozumiałych. Mitologia, historia stawały mu na zawadzie; niektóre ustępy były dlań jakby obcym językiem pisane, ale całość zbudowała go wielce; nabrał pojęcia o wielu obcych mu dotąd stosunkach społecznych. Niektóre moralne sentencje, alegorye, porównania tak go zachwyciły, że zapragnął nauczyć się ich na pamięć, co mu dość łatwo nawet przychodziło. Umysły nieuprawne a żyzne, są tak jak bujne stępy: dość zlekka zadrasnąć ziemię i rzucić ziarno, ażeby bogaty plon wydało. Zresztą niektóre pobożne a nawet i świeckie pieśni znał oddawna; tylko teraz przypomniał je sobie, przyjrzał im się lepiej, odczuł i pojął, dziwiąc się dlaczego dotąd tak martwami dla niego były.

I uczucia jego dla Ewy oczyściły się w tym ogniu. Widzieliśmy już że po pierwszym peryodzie namiętności szczerzej, ale ślepiej, zmysłowej, nastąpiło gorzkie uczucie zawodu, upokorzenia, gniewu, nienawiści prawie. Teraz zdawało mu się że odkrył drogę umysłowego porozumienia, że jeżeli niedostaje mu jeszcze wiele, to łatwo brak ten uzupełni. Było to złudzenie, nietrudne do wytłumaczenia po tak nagłym i stosunkowo wielkim rozszerzeniu widoków; rzeczowy nabytek stanowiło poszanowanie dla życia umysłowego i idealniejsze, czystsze pojęcie miłości. Ewa już nie była dla niego hardą dziewczyną, ale aniołem, którego on był niegodny.

— Jestem nieuk i prostak, gminny rzemieślnik, rzekł sobie smutnie. Cóż mogę dla niej zrobić? Choćby umierała z głodu, nie spojrzysz na mnie. Jakież ja tam u nich muszę być śmieszny!

Z początku Jan zamierzył nie pokazać się więcej u Strzemskich; powoli jednak do innego przyszedł postanowienia.

— To tacy dobrzy ludzie, tacy wyrozumiali na moje prostactwo! muszę im pokazać że zasługuję na ich łaskę, że przy nich także się trochę poleruję. A może im się tam na co przydam? Choć chłopca rysować nauczę, i to będzie dobrze.

Powziąwszy takie postanowienie, przebrał się Jan w swój ubiór odświętny i zeszedł na dół. Rękawiczek nie wziął tym razem. Niech widzą, pomyślał, że mam pracowitą, rzemieślniczą łapę.

Tymczasem u Strzemskich już od dni kilku odbywano smutne, pełne łez narady. Ewa opowiedziała o swojej wizycie u hrabiny; matka i młodsza siostra zganily mocno jej projekt opuszczenia domu; ona sama nie widziała korzyści w takiej zmianie i ostatecznie postanowiła rozprzestrzenić tylko zakres swoich lekcji.

Ale wkrótce zaszła nowa okoliczność. W jednym z domów, w których Ewa miała zajęcia, otrzymano prywatne ostrzeżenie, iż doszło do władzy edukacyjnej, że jakaś osoba niemająca upoważnienia zajmuje się daniem lekcji i że prawdopodobnie pociągnięta będzie do tłumaczenia. Ewa nie myślała dotąd wcale o tym przepisie i naraz ujrzała się w nader krytycznym położeniu. Trudnić się nadal nauczycielstwem z pomijaniem prawa może było i możebnym, ale nieodpowiedniem jej delikatnym pojęciom o godności własnej. Oburzała ją myśl jakiejś tajemnej, nieprawej egzystencji, narażonej ciągle na upokorzenia i napaści. Zdać egzamin i otrzymać patent nauczycielski było jej wprawdzie nietrudno, przy starannym i gruntownym wykształceniu jakie otrzymała; ale w każdym razie nie była to sprawa do załatwienia tak sobie, od ręki. Trzeba było wziąć program i przygotować się choćby tylko kilkotygodniową pracą; trzeba było książek i czasu, a zkad tymczasem wziąć fundusz na chleb powszedni?

Dzień po dniu schodził na naradach, które do niczego nie prowadziły. Jednego wieczora lokaj wygalonowany wszedł do ubogiego mieszkania Strzemskich i oddał list hrabiny, której Ewa podczas swjej bytności pozostawiła adres. Lokaj oświadczył, iż nie ma polecenia czekać na odpowiedź i wyszedł.

Ewa skwapliwie rozpieczętowała list. Zawierał on w znanym już stylu z ogłoszenia kuryerkowego propozycją ostatecznej ugody.

Gdy się biedne dziewczyny nabrały tą kruszyną humorystyki, tak skąpo ich dochodzącej, wróciły do poważnych rozmyślań. List był nowym argumentem przeciw wchodzeniu w stosunki ze Skalicką; ale co robić?

— Kęccy nie zapłacili mi znowu, nadmienila Ewa, choć wczoraj był pierwszy; próżno się męczyć tą lekcją. U Okońskich trzeba naukę porzucić, bo oni się sami boją nieprzyjemności z tego powodu, że nie mam upoważnienia na nauczycielkę. Jeżeli nie będę mogła długo wytrzymać u Skalickiej, to póty przynajmniej posiedzę, póki nocami nie przysposobię się do egzaminu.

— Zniszczysz zdrowie, z rozpaczą zawołała matka.

— Mam dużo sił, nic mi nie będzie. Jedyne to, choć ciężki środek wyjścia z ostatecznej nędzy. Patent otworzy mi wejście do pensyj prywatnych, będę brała większe honoraria.

Ewa zaczęła w tak różowych kolorach malować przyszłe położenie swoje, tak opisywać Skalicką raczej ze śmiesznej niż ze złej strony, że zdołała nieco uspokoić matkę i przychylić do swego projektu.

Na drugi dzień Ewa poszła „do zgody“, która jednak była wcale niełatwa. Skalicka długo opyzycją stawiała zamiarowi Ewy uczenia się po nocach i sposobienia do egzaminu. Gorszym jeszcze był warunek, ażeby panna Ewa całą swoją pensją obracała na własne ubranie, nie udzielając nic matce. O mało że cała zgoda nie rozbiła się o ten punkt; że jednak nikt nie trafiał się hrabinie do konkurencji z Ewą, że panią jej się podobała, przyszło w końcu do zawarcia umowy. Ewa wzięła zaliczenie, dała część na najgwałtowniejsze domu potrzeby, drugą użyła na powiększenie swjej garderoby, i wypłakawszy się gdzieś na uboczu, odważnie pożegnała matkę i siostrę i przeniosła się na nowe mieszkanie.

Kiedy Jan zeszedł wieczorem do Strzemskich, nie zastał już Ewy. Zdziwiło go to mocno, bo wiedział że lekcji wieczorem nie dawała. Nie śmiał się pytać z początku, siadł więc zaambarasowany, starając się skleić jako tako rozmowę.

— Dawnośmy pana Jana nie widzieli, rzekła Strzemska.

— Proszę pani, wiem że prostak jestem i moją rozmową nikogo zabawić nie mogę. Państwo na mnie łaskawi, ale na co wam tylko subjekcją sprowadzać.

— Niedobrze pan mówisz, panie Janie; jesteś rozsądny i uczciwy rzemieślnik, prowadzisz się dobrze i subiekcyi nam żadnej nie sprawiasz. My umiemy ludzi szanować, a rzemiosło nie ubliża nikomu.

— Dziękuję pani, rzekł Jan. Nigdy się na mnie nie okaże żebym się miał źle prowadzić. Dla mnie po pracy największe szczęście, kiedy mogę wieczorem u państwa mądrej posłuchać rozmowy; przynajmniej się czegoś nauczę i nie będę taki nieokrzesany.

— Tak młody jesteś, panie Janie, że możesz jeszcze wszystkiego się nauczyć, a tym zyskać szacunek dla siebie i dla swego rzemiosła. Bogactwo samo nie podnosi człowieka.

— To to ja właśnie zrozumiałem, czytając piękną książeczkę, którą mi państwo dali. Mój Boże! jacy to szczęśliwi ludzie co mogą dużo czytać! ile to się pięknych rzeczy dowiedzą!

— Podobała się panu książka? żywo zapytała Jadwinia.

— O, po całych nocach czytałem; niektóre wiersze po kilka razy. Dziękuję pani.

Dobyl książkę z kieszeni i położył na stole.

— Daj jeszcze co, kiedy tak lubi czytać pan Jan, rzekła matka.

— Chcesz pan? z uśmiechem wtrąciła Jadwinia.

— Chciałem prosić, tylko nie śmiałem.

Dziewczyna pobiegła do małej biblioteczki, jedy-

nego zbytowego sprzętu w terażniejszym położeniu sierot, i po chwili wahania się, przyniosła Epikurejczyka Tomasza Moore, w tłumaczeniu Forstera.

Pani Strzemska spojrziała na tytuł książki.

— Mogłabyś co innego wybrać; to dobre, ale może będzie trochę niezrozumiałe.

— Cóż ja dam? zapytało zakłopotane dziewczę; może Krasickiego?

— I cóż tam ciągle poezye? Trzebaby coś z prozy pouczającej.

— Może Historią powszechną?

— Nie, trzeba żeby było i zajmujące zarazem.

— To już nie wiem doprawdy.

— Daj Franklina, rzekła matka po chwili namysłu.

Jadwinia położyła książkę przed Janem, który w milczeniu przejrzał tytuł, z podziękowaniem wsunął dziełko do kieszeni. Nieobecność Ewy coraz mocniej go drażniła. Żeby czas skrócić i przysłużyć się rodzinie tak uprzejmej dla niego, zaczął znów rysować z Mieciem. Godzinka przeszła, wypadło zakończyć wizytę, a Ewy nie było widać. Narzeczcie powstając, ośmielił się wystąpić z zapytaniem:

— Co to się znaczy, że panny Ewy tak późno niema w domu?

— Niema i nie będzie tak prędko, rzekła matka z bolesnym uśmiechem.

Jana mrowie przeszło i przecucie czegoś złego. Spojrzeniem tylko zapytywał.

— Ciężko nam idzie, jak pan widzisz; Ewa znalazła korzystne pomieszczenie w pewnym domu w Warszawie; trzeba nam było rozłączyć się na czas jakiś, mówiła biedna wdowa prawie ze łzami.

— O pani, wybuchnął Jan, czemu mnie pani nie powiedziałaś? Jaby pracował dzień i noc, żeby tylko państwu dopomódz; jaby sobie wpród ręce po łokcie urobił, nimbym dopuścił żeby się córka z matką rozłączała.

Zapał szczerzy z jakim przemawiał Bieniak, rozczulił Strzemską. Prawdziwy przyjaciel tak rzadki jest w nieszczęściu!

— Gdzież tam, panie Janie, rzekła. Tobie jeszcze dużo na siebie samego trzeba pracować.

— Eh, pani, na siebie samego pracować to niewarto, zawołał Jan prawie ze łzami. Co mi tam po tym wszystkim!

Strzemska spostrzegła teraz, że przyjaźń Jana może być nieco interesowaną. Głęboka rozpacz go zdradzała. Może i lepiej że Ewuni niema w domu, pomyślała sobie.

— Ale kiedy panna Ewa jest w Warszawie, to przecie przyjdzie czasem do pani?

— Tak, zastrzegła to sobie, lecz nieczęsto i krótko tylko będę oglądała moje biedne dziecię.

Nie śmiał Jan pytać się o bliższe szczegóły; zostawił to późniejszej jakiejś okoliczności, przypadkowemu spotkaniu się z Jadwinią. Biedny! wrócił z tej wizyty tak zgnębiony, jak i tydzień temu.

VII.

Młody mężczyzna z angielskimi bakenbardami, który na koncercie tak baczenie przypatrywał się hrabinie Skalickiej i jej pięknej towarzysze, był to p. Zygmunt Orzelski, daleki krewny Skalickiej. W Zygmuncie niewiedzieć co bardziej podziwiać należało: czy przymioty jakie posiadał, czy też to, że żadnego nie miał zanadto, że żaden nie przerósł ponad ogólnie zakreśloną harmonijną linią. Przystojny, rozumny, bogaty, Zygmunt ubierał się zawsze świeżo i elegancko, a bez pretensji; w rozmowie łączył wyszukaną przyzwoitość, z prostotą i otwartością, w życiu pracę i rozrywki umiejętnie kombinował.

Wszystko co tylko w długim szeregu wieków świat zdobył, co kiedy znakomici ludzie odkryli, wynaleźli, wypowiedzieli, Zygmunt przyswoił sobie, objął w prawowite posiadanie, na mocy patentu szkolnego i uniwersyteckiego, a najbardziej własnej pracy. Tak uzbrojony, śledził za każdym nowym kierunkiem ducha ludzkiego i stosownie do swoich usposobień użytkował z niego. Wychowany pod kierunkiem światłego guwernera, w szkołach publicznych jeden z pierwszych uczniów, na uniwersytecie pilny słuchacz prawa i administracji, a pobocznie i niektórych in-

nych przedmiotów, raz tylko Zygmunt dał się unieść polotowi młodzieńczej fantazy i zakochał się w miłutkiej pannie Lucynie, córce jakiegoś urzędnika. Zwykła to była historia studenckich romansów, na które rodzice panny przez próżność patrzyli z pozbawieniem, a rodzice panicza przez pychę. „Niech wymusuje, powtarzali z uśmiechem. Cóż robić? każdy powinien mieć wspomnienia złotych snów swojej młodości, swoje kronikę sentymentalną. Gdyby Zygmunt zamłodu nie popadł w tę ospe, toby mu ją trzeba było szczepić, dla zabezpieczenia lat późniejszych.“

I Zygmunt też przebył ospe miłosną z wielkim zadowoleniem rodziców i krewnych, wymusował, a potem z głową starannie zakorkowaną ambycją, puścił się w świat jako skończony człowiek. Już po pewnym czasie pobytu na uniwersytecie uznał za stosowne miłość swoją zapisać do rzędu szczytnych pamiątek. Wody Sekwany, jakby wody Lety, zmyły ślady parafialnej sentymentalności, a nad brzegami Tybru nowe wzrosło uczucie, na żyznych popiołach dawnego. Nad Tamizą dym kominów fabrycznych zaczął w jego sercu i ten nowy ideał. Zygmunt uczył obowiązek uniesienia z tego dymnego Olimpu kilku iskier w rodzinne strony: zwiędził fabryki, fermy, wystawy; nie zapomniał i o muzeach, galeriach, opactwie westminsterskim, izbie wyższej i niższej; mówił z Cobdenem, widział Palmerstona, przedstawiono go lordowi prezesowi Towarzystwa wyścigów konnych w Derby. Nareszcie, ulegając coraz natęższemu listom ojca i zniechęcającemu wpływowi coraz szczuplejszych przesyłek pieniężnych, zamówił wiele maszyn, wzorowych narzędzi rolniczych, kilka koni i tryków poprawnej rasy, niezmiernie plenne ziarna pszenicy, znalezione w egipskiej piramidzie przez pewnego angielskiego turystę, który już na nich majątek zrobił, szczęśliwy z tylu skarbów umysłowych i materialnych zebranych za granicą, wrócił Zygmunt do domowych penatów.

Ktoregoż ojca nie uszczęśliwiłby powrót takiego syna? To też i ojciec Zygmunta pełen był zachwytu. Sam będąc człowiekiem rozsądnym i dość ukształconym, opuścił się i zaniedbał przy gospodarstwie i wygodnym życiu sąsiedzkim, w którym uczonością nie potrzeba było świecić.

Teraz miał tyle tylko jeszcze wspomnień szkolnych, że mógł ocenić wyższość nauki i poloru Zygmunta. Patrzył też na syna jak na ósmy cud świata i słuchał opowiadań jego z natężoną ciekawością, aby potem bez końca powtarzać je znajomym.

Po pierwszych chwilach uniesień, wypadło się naradzić względem dalszego postanowienia Zygmunta. Ożenić się i osiąść w sąsiedztwie ojca, albo i dalej, jak wypadnie, była to rzecz bardzo prosta na pozór, ale w wykonaniu mocno skomplikowana. Najprzód ojciec ustąpił Zygmunтови jednej wioski; tam miał on urządzić gospodarstwo wzorowe, zreformowane według nowych pojęć, a jednocześnie upatrywać sobie panny.

Projekt bardzo piękny, jednak nie poszedł tak gładko jak się spodziewano. Gospodarstwo wzorowe, choćby na jednej wiosce, kosztuje bardzo dużo, a ojciec Zygmunta miał wprawdzie znaczne dobra, ale obdłużone, do czego się i syn nie pomału przyczynił. Pożyczka świeżo po przyjeździe Zygmunta zaciągnięta okazała się niedostateczną do wykonania reformy gospodarskiej, tém bardziej że chcąc się godnie przedstawić okolicy i dobrze ożenić, trzeba było młodemu człowiekowi żyć wystawnie, ton dawać nie tylko ukształceniem, ale i okazywaniem dostatków. Postarano się więc zrobić tak, żeby i wilk był syty i owca cała.

Reformy urządzono powierzchownie, na pokaz; poustawiano w szopach maszyny przywiezione z Anglii, gościom w chwili przechadzki wysławiano zalety tych narzędzi i okazywano poprawne tryki i konie wyścigowe; ale zresztą Zygmunt zdał gospodarstwo na ekonomu — a sam zajął się ważniejszą rzeczą, ożenieniem.

Ślepyby namacał, a cóż dopiero młodzieńiec bystry jak Zygmunt, że jedyne wyjście z trudnego położenia przedstawiało bogate ożenienie się. Jeżeli nie załatwi sprawy w ten sposób, to będzie musiał zostać hreczkosiejem i najpiękniejsze lata młodości strawić na pełnieniu roli ekonomu na własnej swojej niwie. Na toż tyle lat pracy i naukom poświęcił, na

toż zwiędził cały świat ucywilizowany, ażeby się ograniczyć tak szczupłą areną?

Gospodarować na jednej, lub choćby na kilku wioskach, bez odpowiedniego kapitału nakładowego i obrotowego, to znaczyło skazać się na jakie dziesięć lat wytrwałej pracy i wzorowej oszczędności, ażeby się czego dorobić, i to jeżeli szczęście posłuży. Dlaczegożby Zygmunt nie miał ożenić się bogato i od razu szersze pole zdolnościom swoim otworzyć? Nawet powinien, to jego obowiązek obywatelski. A że sam wart niemało, więc słuszna żeby i jego przysła wielostronne posiadała zalety.

Przejęty poczuciem misji, jaką spełnić mu należało, Zygmunt, urządziwszy się w Wysocinie, pooddawał wizyty wszystkim znacznieszym, dalszym i bliższym krewnym i sąsiadom, upatrując bogdanki.

Ojciec, oczekując powrotu syna z zagranicy, naliczył z jakie dziesięć cór na wydaniu, z których każdąby przyjął za synową, i nie wątpił że choć jedna znajdzie łaskę w oczach syna. Ale tak liczących ojców i matki najczęściej zawód spotyka, i panna Orzelskiego też spotkał. Sześć panien od razu z listy spadło, pokazało się bowiem że nie miały posagów tak wielkich, jak głosiła fama; ojciec przyjął pozory za prawdę, nie wnikając zbyt w rzecz samą. Zygmunt postanowił unikać bliższej znajomości z pannami, nie stanowiącemi dlań odpowiedniej partyi.

Po obejrzeniu na gruncie pozostałych na liście czterech kandydatek, pokazało się że panna Laura jest brzydka i niebardzo młoda, panna Alfonsyna ograniczona parafianka, panna Eulalia ma charakter zbyt niezależny, a najbogatsza z nich, Klotylda, córka Bezułkiewiczów, zaniedbane wychowanie. Bezułkiewiczowie byli zubożoną handlem mieszczańską rodziną, świeżo przeschczepioną na obywatelstwo ziemskie.

Zygmunt, człowiek zasad postępowych i liberalnych, nie zraził się tą bezherbową przeszłością, ale tak mocno go uderzyła grubość obyczajów i brak form towarzyskich, obok wystawności i wielkich pretensyj, że nie chciał się podejmować trudnej roli nauczyciela swojej przyszłej małżonki i poprzestał na jednej wizycie w Chrapówce.

Gdy mu tak rekonensans w okolicy wypadł niekoniecznie pomyślnie, pozostawił oficyalistom gospodarstwo i wyruszył do Warszawy, mając niepełną nadzieję, że tam będzie miał w czem wybierać.

W chwili gdyśmy go poznali na koncercie, Zygmunt już od kilku miesięcy bawił w Warszawie. Hrabina Skalicka była jego krewną, bezdzietną wdową, zamożną. Rodzice, żegnając ubóstwianego syna, zalecali mu między innymi, żeby złożył wizytę i owiej wdowie, śmielszej, nieokrzesanej, ale bogatej, a bez sukcesorów.

Zygmunt, zajęty nowymi stosunkami w stolicy, zapomniał o daném przyrzeczeniu; dopiero nazwisko „Skalicka“, wyrzeczone przez siedzące za nim osoby, przypomniało mu obowiązek względem krewniej, a piękne oczy Ewy wzmocniły dobre intencje.

— Cóż to za świeży buziaczek obok ciotki, myślał sobie. O ilem słyshał, hrabina nie ma żadnych krewnych przy sobie. Hm! wyciągnęła z kąci wychowaną czy coś podobnego — ale baba ma gust! Trzeba iść się przyjrzyć; tylko, na co mi się to przyda? Małeńki romansik na odświeżenie uczucia? Dobrze to przy zajęciach naukowych lub interesami, ale teraz kiedy sobie szukam żony, to niewłaściwa dystrakcja.

Stanął mu w myśli czarne oczy i kwitnąca postać nieznajomej towarzyski hrabiny: rozumowanie wzięło nowy kierunek.

— Czemużbym nie miał, rzekł sam do siebie, zajrzeć w oczy ładnej garderobiane, czy tam pannie do wszystkiego? Nie trzeba być pedantycznym; głupstwem jest dla doktryny, dla wytkniętego z góry systematu, nie rwać kwiatów po drodze życia. Zresztą, co mam przesądzać wypadki: ciotkę powinienem był dawno odwiedzić i trzeba to uczynić jaknajprędzej.

Tymczasem pierwszych kilka dni, które Ewa spędziła w nowym zawodzie, bardzo się jej ciężkimi okazały. Hrabina była grymasna i ograniczona. Umysł wyższy, gdy się dostanie pod kierunek ograniczonej, z natury swój mimowolnie w nieustan-

nym zostaje buncie. Ewa nie wyrozumowała sobie tego, ale od razu uczuła nienaturalność swego położenia, a każda chwila nowe jej przynosiła przykrości. Szczęściem Ewa, obok niezwykłej energii charakteru i jasnego rozsądku, posiadała w wysokim stopniu cudny przymiot kobiet: cierpliwość i wyrozumiałość. Dobroć tak była nierozłącznym, zasadniczym jej duszy przymiotem, jak błękit jest stałą barwą przestrzeni niebieskich; mimo wszelkich zmian okolicznościowych, zawsze można było rozpoznać to tło jej duszy.

Takięj świetnej panny do towarzystwa jak Ewa, nie miała dotąd Skalicka. Przez wzgląd na to, że jest z dobrego domu i starannie wychowana, traktowała ją nieco lepiej jak sługę, dopuszczała do salonu nie w prostej roli klucznicy, lub naléwającej herbatę, ale do bawienia towarzystwa, zaco znów skrycie prześladowała ją wszelkimi możliwymi upokorzeniami — dla równowagi.

Zająć było dosyć, a z nich najgłówniejsze dwa: bawienie gości i pielęgnowanie piesków. Hrabina przyjmowała raz na tydzień, a prócz tego często ją nachodziły poważne matrony, obnoszące i zbierające plotki. Więcej tu było moralnych udřeceń, niż fizycznej pracy. Atmosfera moralna i umysłowa przyginała czynny umysł młodej panienki, przywykłej dotąd do samodzielnego życia.

Kwestya piesków była jeszcze drażliwsza. Hrabina kochała je jak własne dzieci (używamy wyrażenia samej pani hrabiny). Sześcioro takich dzieć, otoczonych ślepą macierzyńską miłością, zamieniło dom w prawdziwe piekło.

Neograniczone pieścizoty, wygodki, próżnowanie psują psy, tak samo jak i ludzi, przyuczają je do kaprysów i złośliwości. Ewa, nie umiejąca pochlebiać ludziom, a cóż dopiero psom, poobrażała je na siebie od pierwszego razu, przez co straciła względy u pani. Nietylko że pieski nic nie chciały przyjąć z jej ręki, ale Belcia za każdą rozmową wszczętą między hrabiną a Ewą szczełała zapamiętałe, Szarmancik zaczął się raz z tyłu i rozerwał suknię, świeżo sprawioną kosztem tyłu poświęceń Ewy, a Trezor i Żoli niemniej stanowczą dla niej odznaczały się nieprzyjaźnią.

— Musisz mieć złe serce, mówiła hrabina, kiedy cię psy nie lubią; to znak nieomylny.

I przyciskała do piersi Trezora, a Szarmancik lizał jej usta.

Najgorsza rzecz, że tym sposobem Ewa stała się niezdolną do jednego z głównych wydziałów, jakie jej wyznaczyła hrabina. Psy trzeba było codzień prowadzić na spacer na wstążeczce, po jednemu z kolei; hrabina sama była do tego zaciężka, z Ewą psy nie chciały chodzić, garderobiana niezawsze czas miała, lokaje zaś źle obchodzili się z psami. Kłopot był prawdziwy.

— Jeżeli tak dłużej potrwa, zmarnieją mi te biedne, niewinne stworzenia. Izorka chora, wyraźnie ma gorączkę, oczy błyszczące i nasek suchy. Jeżeli jutro się nie polepszy, trzeba będzie sprowadzić doktora. Mój Boże, co za zmartwienie! Pójdź tu Izorko, pójdź, biedna moja duszyczko!

Izorka pogardliwie obróciła się do ściany.

Na takich trudnościach przechodziły pierwsze dni Ewie. Łamała je z rezygnacją, ale jej humor i zdrowie niknąć zaczynały. Noce przepędzała nad książkami, przy lichiej świeczce za własne kupionej pieniądze.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Słów kilka o repertoarze.

(Dokończenie.)

Artysta komiczny, wysuwany przez reżyserią na pierwszy plan w sztukach płaskich, ujemnej wartości, nazwyczaj do lekkości, do jednostronności i siebie i publiczność i sztukę. Być może iż temu nie winien artysta, ale ci co go nad miarę eksploatowali. Nie wchodzę w to, ale biorę rezultaty. To

karmienie publiki nie sztuką, ale aktorem, spowodowało ów potop fraszek bez myśli, treści i barwy, które, że je powtarzano ciągle przez wiele lat, stały się wygodną apteczką pamięci. W nią zaopatrzony ten i ów aktor, mógł bez przygotowań recytować przed publiką wyuczony kilkudziesięciowerszowy paciérz i być pewnym galeryowego okłasku.

Tym sposobem zniknął w aktorze artysta, a występował dyletant, zniknął myślący badacz, a występował urzędnik, odbywający swoje godziny w miarę otrzymanej gaży miesięcznej. Wygodna to rzecz powtarzanie jednoaktówek umianych od lat wielu; drobnostki takie dobre są w teatrach amatorskich, ale od aktora wymagam wyższego arcyzmu, który pokazać może tylko w roli szerszego i poważniejszego zakroju. Dzieci recytują z pamięci bajeczki, nie studiując tego czego się uczyły. Bajeczka dziecięcia jest pociechą matki, geniusze kilkoletni grywają walce i mazury ku zdumieniu koła rodzinnego, ale deklamator wygłasza poemata, ale koncertant zdumiewa symfoniami. Krotofila lub komedyjka, to dla arysty wyższego rzędu nic innego nie jest, jak bajeczka albo walc-mazurek. Za bajki głaszczą się dzieci po główce, dają cukierki, ale wieniec daje się Lisztowi, daje się Deotymie.

Aby na to zasługiwał artysta, należy dać mu większą możliwość dosługiwania się istotnego wienca, a tej możliwości było dotąd przez długie lata zamało. Możliwość tę łatwo jest nasunąć artystom, potrzeba tylko rozprzeżenie repertoaru komedii wyższej i dramatów, a wyplenić krotofile i farsy-komedyjki. Raz zaprowadzona reforma, wyrobiłaby powagę artystów i utrzymałaby na wodzy gust słuchaczy.

Raz jeszcze powtarzam co już mówiłem, że każdej scenie szkodzi ugrzęźnięcie w samych bufonadach, w mniej moralnych, lub mniej przyzwoitych drobiazgach. Ciągłe ich powtarzanie, jest to ceniecie lekko publiki i swych obowiązków; nieustanne powtarzanie choćby dobrych większych utworów, ale osłuchanych i ogranych, jest prostym zbywaniem z dnia na dzień widowisk, bez planu, bez pracy, bez starania się o zainteresowanie, o rozrywkę publiczności.

W następstwie zbywania publiki osłuchaniem dziełmi, idzie nawyknięcie do ociążałości w razie imania się czego nowego, a za niem podąża to złe niezmiernie, iż wystawienie nowej a większej sztuki idzie oporem, napotyka na trudności tysiączne, z którymi reżysera nieraz ma do walczenia, szczególnie gdy idzie o dogodzenie rolami temu lub owemu wielkiemu artyście. W skutek tego, nowość wszelka większa, może się ukazać zaledwie co pół roku, a zanim się pojawi na scenie taka sztuka, (zawsze pomijam drobne farsy, bo to rzecz zabawki a nie pracy artysty), odleży się ona w repertoarze rok i dłużej, rozpisywana na role, dawana do nauczenia się, powoli studiowana, a po nauczeniu jeszcze nieraz odrzucana, dlatego że prosto temu lub owemu artyście rola nie przypadła do gustu. Ztrudem raz przecie porodzona sztuka, już potem nie schodzi z repertoaru, choćby ją całe miasto umiało na pamięć, dlatego, że przeprowadzenie wystawienia nowego dzieła, nowymi kłopotami zagraża reżyserowi.

Przeciwie dzieje się w innych miastach, o których pisano w korespondencji Tygodnika, miastach nazwanych prowincjonalnymi, ale które w gruncie rzeczy takimi ze względu na scenę nie są, bo obadwa miasta mają stałe blisko stułetniej egzystencji teatru i mają znaczny poczet publiczności doborowej. Jedno miasto, z ludnością stułetnią, jest ogniskiem kilkomilionowej prowincji, miało zawsze teatr wyborowy, mogący, co do artystów, rywalizować z warszawskim, nie może więc stawianym być na równi z miastem zwyczajnym prowincjonalnym, jak np. Lublin lub Radom i t. p. W owych niby prowincjonalnych miastach, artyści nie mogą przebić w rolach, ani zbywać wypoczynkiem widowisk. Na wyuczenie się największego dramatu lub tragedii, wystarczają tam dwa lub trzy tygodnie, a bywało i mniej, nie wlece się nauka całe półrocza. W skutek tego wynika, że w owych miastach aktor odbywa ciągle różnostronne studia, kształci się przez nie, rozrasta w siły, postępuje; tutaj zaś bywało, że artysta nie miał sposobności ciągłego do-

skonalenia się wszechstronnością gry dramatycznej i rozmaitością ról tragicznych. Sami słyszeliśmy od znakomitych tutejszych artystów, niegdyś na owych prowincjonalnych teatrach występujących, iż niemal z rozpaczą przed laty mówili, że ich nie dopuszczają do ról, że zapomną czego się nauczyli, że marnują się bezczynnością. Istotnie, zmuszony był artysta (jako dramatyk) wypoczywać, a przez to teżała, że tak powiem, gimnastyka mimiki, tracił smak delikatny w wyborze ról wznioślejszych, na co się nawet, w okazyi występów gościnnych pewnego artysty, pisma na prowincji użalały.

Gdy zatem na prowincji, w ciągłym zajęciu w dramatycznym kierunku, artyści objawiają życie ruchliwe, ciż sami zasiadają przy wielkim ołtarzu, aby po trudach prowincjonalnych, spokojnie zbierać owoce. Nie ich to wina, bo ich dążeniem jest praca sceniczna i sława przez pracę, ale wina, wyłączna wina ubóstwa repertoaru. Artyści nasi są to mężowie pracy, zapału i poświęcenia, ale potrzeba przysparzać im materiału do użytecznej pracy, do podniecenia zapału i możliwość okazania wznioślejszych poświęceń dla sztuki. Bez tego będą świetni ci, co świetnie rozpoczynali zawód, nie wyrobią się także następcy starszych. Gdy bowiem starsi idą przodem, młodzieży położenie jest znacznie mniej dogodne. Cała masa szczupłej działalności ściśle dramatycznej, jest w ręku kilku koryfeuszów, którzy radzi są przynajmniej raz na kwartał pokazać, czego zdołaliby dokonać, gdyby żywioł tragiczny i dramatu był rozszerzony. Młodzież zamało jest przypuszczana do tej biesiady dramatycznej. Każdy młody a zdolny (a szczególnie kobiecy), nie mogąc rozwinąć zasobów talentu swego i marniejąc w bezczynności, wyrwa się na prowincję i tam dopiero wyrabia się na artystę. Tłumaczone komedye i farsy czcze a niedowcipnie dowcipkujące, zwykle są dwu lub trzy, najwięcej czteruosobowe. Że zaś komedye takie bywały tutaj w repertoarze na porządku dziennym, grywają je więc stale trzej lub czterej faworyci publiki, co dla nich pracą nie jest, bo grywają zawsze jedno i to samo, gdy tymczasem całość towarzystwa scenicznej młodzieży marnieje w bezczynności. Wprowadzenie dramatów wzorowych, jak np. Dziwica Orleańska, i t. d., dawanie dramatów lub tragedji choćby raz na tydzień, wprowadziłoby życie i ruch w cały komplet towarzystwa. Młodzi graliby ciągle ze starszymi i uczyliby się od nich i obok nich; artyści starsze nie uważaliby za swój wyłączny przywilej pochłanianie wszystkich ról pierwszych, choćby do wieku swego już niestosownych, bo nie nastarczyłyby mnogości i rozległości zadania. Publiczność interesowałaby się nowościami, wznioślejszej i zażywniejszej treści, słowem byłby ruch, byłoby życie, byłby widoczny postęp artystów, byłaby szkoła, gdy dzisiaj prawie że jej tu niema. Rzekłbym iż raczej ona jest w owych mniejszych miastach, o których pisałem, bo tam rozszerzono pole dramatów i utworów oryginalnych, tam też jest publiczność więcej wymagającą, nawet wiele wymagającą. Smak jej nie jest zepsuty. Ciągły napływ obcych i krajowych artystów w rolach gościnnych, odświeża repertoar, bo każdy przybysz stara się w nieznaną wystąpić roli; urozmaica widowisko, bo odnawia się grono towarzystwa. Gościnne występy nie obudzają zazdrości, bo są na porządku dziennym, a publiczność nawykła widywać ciągle nowych artystów i porównywać ich pomiędzy sobą, umi sobie wyrobić smak delikatny, którego lada bufonada cudzoziemska nie zadowoli. Powiedziano gdzieś, że na tamtych scenach łatwo nabyć rozgłosu, bo łatwo jest jednookiemu wyróżnić się wśród ślepych. Dałby Bóg aby choć tacy jednoocy wyrabiali się obficie na tutejszej scenie, po zreformowaniu repertoaru. Tak jak bywało dotąd, miéwalimy wielkich artystów, ale role niewielkie; gdy w dwu owych miastach prowincji, mamy (według zdania jednego z tutejszych krytyków) małych artystów, ale wielkie role. Wolę to dlatego, że przychodzimy na widowisko więcej dla słyszenia pięknego dzieła, aniżeli dla widzenia dobiegającego artysty. Piękny utwór trwałej, wbija się w pamięć, aniżeli gra piękna, a najtrwałej, jeżeli jedno i drugie jest pięknem, co tylko przez doborowy repertoar uzyskać można.

Nie wątpię że nowa dyrekcja i nowa reżyseria, już teraz objawiając kierunek ku pomyślnemu przeobrażeniu i uszlachetnieniu widowisk, weźmie zyczliwie na uwagę te spostrzeżenia moje, które dyktowały mi nie jakieś względy uboczne, ale szczerą i otwartą chęć podniesienia wartości moralnej sceny.

Potrzebę reformy już zrozumiała dyrekcja, bo ją w tym kierunku rozpoczęła przeprowadzać. Konieczność reformy nasuwa się ze samego względu na interes kasy teatralnej. Zrozumienie tego interesu, doprowadzi do wykluczenia sztuk obcych dwuznacznej moralności, często powtarzanych, ze względu na dogodność i biegłą grę tego lub owego ulubieńca. Zbyt częste powtarzanie fars obcych nie może motywowanym być tępem, że w Paryżu lub w Wiedniu powtarzają błahostki po sto i więcej razy, bo tam jest ludność milionowa i napływowa i jest kilkadziesiąt teatrów do wyboru, gdy tu liczba uczęszczających na teatr jest stała, niezmiennie też sama i bardzo niewielka, a liczba ta ograniczoną jest do uczęszczania tylko na jeden teatr. Wyboru teatrów tu niema, więc niejaka rozmaitość być musi.

Wprawdzie niełatwa to rzecz obmyślać skutecznie plany widowisk kilkomiesięcznych naprzód, ale możnaby korzystać z dobrych przykładów gdzieindziej zastosowywanych, możnaby naradą i porozumieniem się wiele uzyskać. Dorywczość i widzimisię, nie rozstrzygałyby wtedy o dobroci i stosowności utworów.

Mając jeden teatr, wypadłoby w nim zjednoczyć, spromienić to wszystko, co, jak pisałem, rozstrzeżono się na wielu teatrach stolicy takiej np. jak Wiedeń. Łatwo jest pogodzić rozweselanie przyzwoite galeryi, z zadowoleniem wytwornego smaku i powagi łóż i krzesel. Nie domagam się samych arcydzieł, dawania dzieł wyłącznie Szekspira, Szyllera, Gutzkova, Halma i t. p., bo niejedno co jest w czytaniu klasycznie pięknym, zbyt często podawane, dla publiki staje się klasycznie nudnym, a wystawiając, należy baczyć, aby była i gra i wystawa wytworna. Nie można dawać samych arcydzieł, ale można dawać dobre komedye wyższe, jakich *Benediks* i inni nie mała napisali liczbę, tragedye, jakich *Freitag*, dramata, jakich *Laube* dostarczył moc niemałą. Dla galeryi nie zawadzą melodramy w guście prac *Megerlowej*, a dla publiki lubiącej wystawę, dramata *Birchpfeifrowej*, starać się zaś głównie o rzeczy oryginalne. Dekoracyjne sztuki nawet więcej są warte, aniżeli farsy dwuznaczne, bo zaprawiają do gry cały komplet sceniczny i służby teatralnej, wszyscy pracują i doskonalą się jednocześnie, i sztuki takie mają zawsze cel moralizujący. Łatwo przeobrazić repertoar od razu. Zamożnymi są repertoary miast prowincji; z tamtąd możnaby drogą zamiany uzyskać wiele. Nawet zdaje mi się, iż jest nieodzownym, aby sceny te porozumiewały się stale pomiędzy sobą i wymieniały wszelkie nowości. Uniknęłyby się tym sposobem kilkakrotnego tłumaczenia jednej i téjże samej sztuki, jak np. *Motylomanii*, *Zięcia p. Poirier*, *Adryany* i wielu innych. Wymieniając przekłady, możnaby łatwo uwzględnić prawa tłumaczy. Przygarnięcie jednak i poszukiwanie dzieł oryginalnych powinno być zadaniem pierwszorzędnym. Pomnożenie liczby dorocznych dramatycznych nowości, a nie redukcja ich do *minimum*, jest nieodbitnie potrzebnym. Nie idzie mi o ilość, tak jak to bywa na prowincji, bo tam szczupłość liczby słuchaczy domaga się większej rozmaitości, ale idzie o możliwe zasilenie żywiołu dramatycznego, nie ilością, ale jakością, to jest wyborem, dobrocią i szlachetnością idei górującego.

Dla lepszego przeglądu tego, co już było granem, należałoby także wskrzesić wydawanie roczników sceny. Możliwość z tępem połączyć drukowanie sztuk które uzyskały powodzenie zasłużone, a które mogłyby być użyte i na teatrach amatorskich. Na takich sztukach zbywa nam, a amatorowie kłopotają się zawsze, nie mając w czém wybierać. Czasi wydają jednocześnie dwie seryje dwóch bibliotek teatralnych, i wychodzą na swoje. Skoro teatr nasz ma między artystami mnogi poczet stałych dostarczycieli tłumaczeń, dlaczego nie zdobędzie się ani na jednego wydawcę rocznika i zbioru teatralnego?

K. Estreicher.